

ZOFIA

URBANOWSKA

KSIEŻNICZKA

Zofia Urbanowska

Księżniczka

«Public Domain»

Urbanowska Z.

Księżniczka / Z. Urbanowska — «Public Domain»,

Księżniczka to powieść autorstwa Zofii Urbanowskiej, wydana w 1886 roku. Główna bohaterka, Helena Orecka, to córka zubożałego szlachcica, której w życiu nigdy nic nie brakowało. Kiedy ojciec bankrutuje, Helenka jest zmuszona podjąć pierwszą pracę zarobkową. Nieprzystosowana do życia, przyzwyczajona do wygod, początkowo nie potrafi odnaleźć się wśród ludzi, którzy są przyzwyczajeni do pracy. Wkrótce jednak zaczyna dostrzegać ich ideały, patriotyczną postawę i podejmuje wyzwanie stania się samodzielnym członkiem społeczeństwa. Utwór Urbanowskiej to powieść tendencyjna, hołdująca pozytywistycznym ideałom, takim jak m.in. emancypacja kobiet — bohaterka przechodzi wewnętrzną przemianę, by móc zostać świadomą i niezależną kobietą. Autorka odkrywa również obraz społeczeństwa polskiego, przemiany społeczne i obyczajowe wobec wyzwań kapitalizmu.

© Urbanowska Z.

© Public Domain

Содержание

W domu	5
I	5
II	11
III	13
IV	17
V	21
VI	25
U ludzi	30
VII	30
VIII	36
IX	41
Конец ознакомительного фрагмента.	42

Zofia Urbanowska

Księżniczka

W domu

I

Gdy w miasteczku M. rozeszła się wieść o założeniu Domu Handlowo-Komisowego Rolników Nadw...skich w celu wyswobodzenia właścicieli ziemskich z rąk lichwiarzy przez dawanie im taniego kredytu na zboże – między kupcami tamecznymi, w rękach których dotąd koncentrował się handel zbożem w całej okolicy, objawił się niemały popłoch, a obrady giełdowe, odbywające się regularnie co dzień z rana na środku rynku, zwanego żydowskim, bywały głośniejsze niż kiedykolwiek. Z gestykulacji rąk, z rozplamionych twarzy, z częstego przesuwania czapek futrzanych na tył głowy i z tyłu na przód widać było, że wieść ta niespodziana wstrząsnęła kupcami do głębi. Ale gdy w ślad za pierwszą wieścią przysłała wkrótce na giełdę druga o urządzeniu filii Domu w M. i mianowaniu agentem pana Marcina Oreckiego, barometr usposobienia moralnego miejscowych Rotszylków¹, spadły już bardzo nisko, podniósł się w jednej chwili; dziwowano się tylko wielce, jak Dom, na którego czele stawali ludzie znani szacunkowo w przemyśle krajowym, mógł wybrać na reprezentanta firmy człowieka nie mającego żadnego o handlu wyobrażenia – a stary doświadczony Hersz przepowiadał nawet prędko upadek filii.

Gdyby do składu nowo powstającej instytucji należeli sami tylko ludzie fachowi, to posada agenta pewnie dostałaby się komu innemu – ale połowę członków stanowili ziemianie, a ci użyli swego prawa głosu dla zaprotegowania krewnych i znajomych, czemu przecie dziwić się nie można. Jednym z protegowanych był znany z prawości charakteru pan Marcin Orecki, niegdyś zamożny obywatel ziemski. Burza wstrząsająca do gruntu całym krajem pozbawiła go dziedzicznej własności² – został mu jednakże kapitał, z którym osiadł w miasteczku, kupiwszy sobie dom z ogrodem. Powolny, łagodny, uprzejmy, serce, a często i kieszeń otwarte miał dla każdego – i pomimo sześćdziesięciu lat wieku, idącego z latami doświadczenia, pomimo że nieraz był ofiarą własnej łatwowierności – nie pozbył się jej i ufał każdemu z rzadką naiwnością. Wszyscy dla niego byli uczciwymi ludźmi; a jeśli kto zbyt jawnie przeciwko zasadom uczciwości wykroczył, pan Marcin najprzód³ wierzyć nie chciał, a potem litował się nad nim i tysięczne dowody wynajdywał na jego usprawiedliwienie.

Tytuł kupca pierwszej gildii⁴, jaki panu Marcinowi dostał się wraz z posadą agenta, sprawił mu niemałą przyjemność. Kazał oprawić patent za szkło w ozdobne, złożone ramy i powiesił w kantorze nad biurkiem. Cieszyło go to, że on, szlachcic, zajmując stanowisko handlowe, poświęcał swoje przesady szlacheckie⁵, przyczyniał się do postępu i brał udział w reformie kraju, szukającego

¹ *miejscowy Rotszyl* – ironiczne określenie bogatego Żyda; *Rotszylowie* a. *Rothschildowie* – rodzina finansistów żydowskich, pochodząca z Frankfurtu. [przypis edytorski]

² *Burza wstrząsająca do gruntu całym krajem pozbawiła go dziedzicznej własności* – aluzja do represji carskich po powstaniu styczniowym, do konfiskaty majątków ziemskich wielu polskich rodzin szlacheckich. Autorka nie mogła napisać tego wprost ze względu na cenzurę. [przypis edytorski]

³ *najprzód* – dziś: najpierw. [przypis edytorski]

⁴ *kupiec pierwszej gildii* – w Rosji carskiej handlowców dzielono na dwie kategorie (gildie) w zależności od obrotów ich przedsiębiorstw. [przypis edytorski]

⁵ *szlachcic, zajmując stanowisko handlowe, poświęcał swoje przesady szlacheckie* – w daw. Polsce szlachcicowi nie wypadało zajmować się handlem. [przypis edytorski]

nowych dróg do powiększenia ogólnej zamożności⁶ – a przekonanie to podnosiło go we własnych oczach. Każdemu, kto do niego przyszedł, pokazywał patent i objaśniał jego znaczenie, przy czym mówił dużo o postępie, posługując się całymi okresami⁷, wyjętymi z mowy, jaką przy otwarciu nowej instytucji miał jeden z członków Domu, noszący historyczne nazwisko – mowy obfitej w piękne frazesy i efekty oratorskie, a którą pan Marcin wyczytał w gazetach, tak sobie upodobał, że większą część umiał prawie na pamięć. Przejęty ważnością swego stanowiska, gorliwie się zabrał do zaopatrzenia kantoru w odpowiednie jego przeznaczeniu sprzęty i nie mógł się dość nacieszyć kasą ogniotrwałą i jej sztucznym⁸ zamkiem, otwierającym się tylko za właściwym nastawianiem liter – oraz, choć jeszcze nie było wiadomo, jaki będzie ruch interesów, przyjął sobie dwóch pomocników, którym pensje wyznaczył z własnej kieszeni.

Jakoż wbrew przepowiedni Hersza od razu w kantorze pana Marcina objawił się ruch wielki: bracia szlachta, chętni do korzystania z taniego kredytu, cisnęli się po zaliczki i nieraz w kantorze było tłumno jak w kościele. Jak zresztą nie miało być tłumno, kiedy prawie nikt stamtąd nie odszedł niezadowolony, jak to bywało u Hersza lub Arona? Pan Marcin miał dobre serce i nie lubił ludziom robić trudności, przy tym był człowiekiem towarzyskim, gościnnym i znał cały powiat. Załatwiwszy jak najspieszniej interes, gawędził chętnie z interesantami o urodzajach, polowaniu, polityce i co dzień prawie przyprowadzał żonie gości na śniadanie lub obiad, nie pytając, czy była na to przygotowana, czy nie. Gdy młocka się skończyła, cała ulica, przy której stał dom pana Marcina, tak była zapchana furmankami z odstawą, że trudno się było przez nią przedostać. Przez całą zimę pan agent i jego pomocnicy zaledwie sobie dali radę z przyjmowaniem odstaw, ważeniem zboża i ładowaniem go na statki, mające popłynąć do Gdańska. Rzeka, jak okiem dojrzeć, pokryła była lasem masztów ozdobionych różnokolorowymi chorągiewkami, które niby las bagnetów miały walczyć w imię postępu i wywalczyć krajowi nieznaną dotąd pomyślność i bogactwo. Statki kolejno zarzucały kotwice w małej przystani, należącej do posesji pana Marcina, gdzie brzeg wzmocniony był drewnianym bulwarkiem i gdzie stał śpichrz, z którego odbywało się ładowanie.

Jeżeli kto przypuszcza, że miejscowi handlarze spiskowali przeciwko panu agentowi, to bardzo się myli. Nic podobnego nie było. Hersz i Aron wobec tej procesji furmanek zachowywali się obojętnie, a nawet przyjacielsko. Przychodzili do kantoru, gawędzili z panem Marcinem o cenach zboża, brali w rękę próbki, nieśli je do okna, oglądali, ważyli, przesypywali z dłoni na dłoń, szwargotali z sobą półgłosem, kiwali głowami, ale też na tym był koniec.

Zboże w Gdańsku sprzedane zostało kupcom angielskim z takim zyskiem, że to w członkach Domu Handlowego najświetniejsze obudziło nadzieje, wyglądana era dla handlu i rolnictwa zdawała się już być blisko. Członek Domu, noszący historyczne nazwisko, wypowiedział na ogólnym zebraniu mowę jeszcze piękniejszą niż przy otwarciu tej instytucji, a gazety powtórzyły ją *urbi et orbi*⁹.

Toteż istotnie trudne było do zrozumienia, dlaczego w roku następnym ruch w kantorze pana Marcina zmniejszył się – a znaczna część tych, co korzystali z dobrodziejstwa taniego kredytu, zwróciła się na powrót do droższego kredytu żydowskiego i chociaż nie miała zboża na odstawienie Domowi Handlowemu, odstawiała je jednak bocznymi ulicami swoim dawnym kredytorom. Pan Marcin, gdy mu o tym doniesiono, powiedział najprzód, że „to nie może być” – a następnie, że „to są ludzie porządni i z pewnością oddadzą, co winni”. Dla tej samej przyczyny nie chciał korzystać z paragrafu ustawy, pozwalającego mu poszukiwać sądownie niesumiennej dłużników – czym ośmieleni, nie szukali już bocznych dróg, mniej dogodnych bądź co bądź dla koni idących z ciężarami, ale przed oknami kantoru przejeżdżali z furami, wiozącymi zboże dla Hersza i Arona. Raz zszedłszy

⁶ *Cieszyło go to, że on, szlachcic, zajmując stanowisko handlowe, poświęcał swoje przesady szlacheckie, przyczyniał się do postępu i brał udział w reformie kraju, szukającego nowych dróg do powiększenia ogólnej zamożności* – wyraz światopoglądu pozytywistycznego. [przypis edytorski]

⁷ *okres* (tu daw.) – zwrot, zdanie. [przypis edytorski]

⁸ *sztuczny* (tu daw.) – skomplikowany, wymyślny. [przypis edytorski]

⁹ *urbi et orbi* (łac.) – miastu i światu. [przypis edytorski]

się z takim dłużnikiem oko w oko na ulicy pan Marcin zaczął mu robić wyrzuty, ale tamten potrafił mu w tak posepnych kolorach przedstawić swoje położenie, że wzruszony jego niedolą, pożyczył mu jeszcze pięćdziesiąt rubli z własnej kieszeni.

Ustawa wymagała, aby każdy biorący zaliczkę stawiał za sobą dwóch poręczycieli, gotowych odpowiedzieć własnym majątkiem, w razie gdyby się nie uiszczył z długu; byli jednakże tacy, którzy poręczycieli, mimo usilnych starań, znaleźć nie mogli, a pieniędzy potrzebowali koniecznie – i ci, znając miękkie serce pana Marcina, dopóty go prosili, dopóki ich nie wyratował z kłopotu własnym poręczeniem. Że zaś takie wypadki powtarzały się od czasu do czasu i wytworzyły już dość pokaźną sumę, więc pomocnik pana Marcina, człowiek szczerze rodzinie jego życzliwy, ostrzegł o tym poufnie panią Orecką, o której wpływie na męża wiedział. Na czynione sobie przedstawienia i wyrzuty, że przez swą nieopatrność może pozbawić chleba na przyszłość jedyne dziecko, pan Marcin odpowiedział z niezachwianą ufnością:

– Ale oni oddadzą! Jak cię kocham, tak oddadzą: to są porządni ludzie. Gdybym ich nie znał, to co innego, ale ja ich znam. Chociażby ten Tecki: Towarzystwa¹⁰ nie miał czym zapłacić i byłiby mu wystawili wieś na subhastę¹¹. Trzeba go było ratować – jakże! Dzieci pięcioro; z torbami przecie nie pójdą. Imość tobyś chciała, żeby nikomu nic nie dać. Olaboga! laboga! Jak trzeba, to trzeba, trudna rada!

Wyrzuty miały ten skutek, że następne poręczenia pan Marcin skutecznie w sekrecie przed swoim pomocnikiem – pani Orecką zaś, pomimo zapewnień męża o uczciwości dłużników, zaczęła czuć obawę o przyszłość, czas bowiem mijał, a oni nie oddawali ani pieniędzy, ani zboża.

Gdy tak sprawy stały w kantorze, w spichrzu działy się także różne dziwne rzeczy. W pierwszym roku był pewien nadmiar zboża, w następnym już go nie było, a później okazał się nawet niedobór, który pan Marcin rokrocznie dopełniać musiał z własnej kieszeni. Zachodził on w głowę, co to być mogło, bo przecież dostawy odbierano pod miarą i wagą. A gdy mu pomocnik powiedział raz, że widział, jak ludzie arfujący pszenicę sypali ją garściami za cholewy, uczuł do niego niechęć i, spotkawszy jednego z robotników, o których była mowa, zagadnął go tymi słowami:

– Słyszysz ty, prawda to, co mi pan Antoni powiada, że wy sypiecie za cholewy pszenicę? he?

– E, wielmożny panie, gdzie by zaś była prawda – mówił zagadnięty, kłaniając mu się do kolan – raz ino wzionem kwaterkę pośladu dla kurcząt, i tyła.

Więc pan Marcin machnął ręką i na tym się skończyło – do pomocnika zaś powiedział:

– Franciszek mówi, że tylko raz wziął garść pośladu dla kurcząt, a pan zaraz zrobiłeś z tego wielkie rzeczy. Co też za człowiek z pana! Olaboga, laboga!

Musiał to być jednak poślad bardzo pożywny i rozmnażający się cudownie, jak ów chleb ewangeliczny, bo wszyscy robotnicy, pracujący w spichrzu, trzymali kury, wyglądające lepiej od kur ich pryncypała, i przynosili je nawet do niego na sprzedaż, a on je kupował, nie domyślając się nawet, że na jego pszenicy zostały wypasione.

Tak rzeczy stały kilka lat, z tą różnicą, że ruch w kantorze zmniejszał się coraz bardziej, a większa część statków przeniosła się na drugą stronę rzeki, gdzie stały spichrze Hersza i Arona, i tam zarzucały kotwice. Walka w imię postępu słabła widocznie i groziła zupełną przegraną. Dom Handlowy przysłał swemu agentowi instrukcje obostrzające dawanie zaliczeń i zażądał ściągnięcia długów w jak najkrótszym czasie.

Były to ciężkie chwile dla pana Marcina; widział się bowiem jako poręczyciel w konieczności zapłacenia za tych, którym niegdyś dopomógł, przez co kapitał, mający być posagiem jego ukochanej córki, zmniejszył się do minimum – i gdyby nie pensja, którą pobierał jako agent, a która obecnie stanowiła główną podstawę utrzymania domu, to procent od kapitału nie starczyłby nawet na

¹⁰ *Towarzystwo* – Towarzystwo Kredytowe Ziemskie w Królestwie Polskim, pierwszy bank w Polsce, założony w 1825 r. przez stowarzyszenie właścicieli ziemskich. Towarzystwo udzielało swoim członkom, bogatym posiadaczom ziemskim, kredytów na oddłużenie i modernizację majątków. [przypis edytorski]

¹¹ *subhasta* (daw., z łac.) – wyprzedaż, licytacja. [przypis edytorski]

codzienne potrzeby. Pocieszał się wprawdzie nadzieją, że odbierze swoje pieniądze z czasem, ale mimo to chudł, mizerniał i starzał się coraz bardziej. Tymczasem nadchodziły niepokojące wiadomości o obniżaniu się cen zboża na rynkach europejskich z powodu zasypania ich pszenicą amerykańską i przebąkiwano, że Dom Handlowy zechce pewnie zwinąć filię w mieście M., której utrzymanie było dość kosztowne, a od kilku lat żadnych nie przynosiło korzyści. Pan Marcin po całych dniach siedział w pustym kantorze, gdzie już nie było jego pomocników przy biurku, i patrząc bezmyślnie na rzekę, wybijał palcami marsza na zielonym suknie. Jedna tylko córka miała przywilej rozweselania ojca; słuchając jej szczebiotu, uśmiechał się i ożywiał jak dawniej, ale skoro tylko odeszła, wpadał znów w poprzednie zamyślenie i bębnił dalej swojego marsza.

Przez okno kantoru widać było także dziedziniec, łączący się z nim ogród i mały, nowy domek z pruskiego muru, otoczony niewielkimi gospodarskimi budynkami, a oddzielony tylko parkanem od posesji pana Marcina. Należał on do Niemca Ofmana, właściciela jednej z największych berlinek¹², wożących zboże do Gdańska. Jakim sposobem ubogi człowiek do majątku przyszedł, nie naszą jest rzeczą badać, ale byli tacy, co pamiętali, jak przywędrował z kijem w jednej, a szczupłym węzełkiem w drugiej ręce, które to szczegóły w zestawieniu z obecnym położeniem Ofmana przyniosły mu tylko zaszczyt, jako dowodzące niezmiernej jego wyższości nad krajowcami, wielkiej wytrwałości i energii w walce o byt. Już sam sposób pozyskania gruntu pod budowę wart był zanotowania w kronice miasta, jako dowód rozumu przybysza i umiejętności tworzenia czegoś z niczego, która to umiejętność jest narodowym przymiotem Niemców.

Za parkanem ogrodu pana Marcina był kawałek cuchnącego bagna, zalewanego od czasu do czasu przez wodę rzeczną. Ofman nabył to bagno od miasta za kilkanaście talarów, z powodu którego to interesu pan burmistrz aż boki zrywał ze śmiechu i drwił z biednego Niemca, ilekroć go spotkał, nazywając go „jaśnie wielmożnym dziedzicem”. Nowy obywatel miasta jednak znosił spokojnie te drwinki i postępowaniem swoim dowiódł, że mądrze czyni ten, kto się śmieje na ostatku. Zaczął od porozumienia się ze służbą policyjną i furmanami, których zadaniem było wywożenie śmieci z ulic, i za poczęstunek oraz kilka pudełek zagranicznych cygar skierował wywózkę na własne terytorium. Tak załatwiwszy interes, postarał się o miejsce szypra na berlince i co roku wracając z Gdańska ze statkiem po ładunek, wiózł głęboko schowane w kajucie cygara i widział z pociechą, jak grunt jego rósł coraz wyżej, wyżej, aż zrównał się poziomem z posesją pana Marcina. Wtedy Ofman uznał, że już więcej cygar z zagranicy przywozić nie ma potrzeby, i wyjąwszy ze skórzanego woreczka pieniądze, zebrane kilkoletnią pracą, oszczędnością i przemysłem, ogroził grunt i wystawił na nim mały parterowy domek, podług planu, jaki sam sobie obmyślił. W drugim roku stanęły budynki gospodarskie, w trzecim przybyła ozdobna facjatka na domu mieszkalnym, w czwartym weranda przed domem i ogródek, mały wprawdzie, ale z daleka nęcący oko barwnością kwiatów i starannym utrzymaniem – a całość posesji przybrała charakter miniaturowego holenderskiego folwarczku. Każdy szczegół mówił o wzrastającej zamożności posiadacza. Zamożność ta stała się jeszcze widoczniejsza od czasu, gdy się Ofman ożenił z wdową po właścicielu berlinki, na której poprzednio pełnił służbę szypra. Burmistrz już przestał śmiać się z niego, a pan Marcin, wzruszający z początku tylko ramionami, zaczął przypatrywać się tej fortunie rosnącej pod jego bokiem z pewną ciekawością. Co kilka dni bowiem można tam było zobaczyć coś nowego: to ganeczek, którego dawniej nie było, to sztachetki, to drzewka świeżo zasadzone, to altankę! A między tym wszystkim od świtu do nocy chodził sam właściciel, krzątając się z trudną do zrozumienia dla szlachcica wytrwałością. A zawsze coś trzymał w ręku: to młotek, to szpadel, to nóż, to świder – ciągle coś robił, przybijał, sam uskuteczniał każdą naprawę. Wkrótce też urządził porządny bulwark¹³, regulujący brzeg rzeki w tym miejscu; statki przy nim zarzucały kotwice, a nawet zimowały za pewną opłatą, której żądać nie przyszło nigdy do głowy

¹² berlinka – tu: statek rzeczny. [przypis edytorski]

¹³ bulwark (daw.) – nabrzeże, bulwar. [przypis edytorski]

jego sąsiadowi – a co wiosna stawały tam tratwy zbite z drzewa budulcowego. Miał już bowiem Ofman swój własny las w okolicy i powoli go wyrąbywał.

Obok tych zabudowań, uderzających mile oko ładem i czystością, smutnie odbijała obszerna posesja pana Marcina. Parkan, gnijący od spodu i grożący upadkiem, popodpierany był tu i ówdzie drągami; ze ścian domu tynk poodpadał w wielu miejscach, a drzewo wystawione na działanie powietrza i wilgoci pokrywało się pleśnią. Dach na śpichrzu od roku potrzebował naprawy. Ze wszystkich kątów wyglądała zbliżająca się powoli ruina. Pan Marcin ruiny tej bynajmniej nie pragnął, ale miał jedną maleńką wadę: lubił wszystko odkładać na jutro. Gdy dach zaczął zaciekać, a pomocnik, zwróciwszy mu na to uwagę, chciał zaraz posyłać po rzemieślnika, odpowiadał, że „jest w gorącej wodzie kąpany” i że „nie ma nic pilnego”. Tym sposobem uszkodzenia, zrazu małe i drobnymi kwotami dające się usunąć, zwiększały się i coraz znacznie większych wymagały kosztów – że zaś wskutek nieszczęśliwego obrotu interesów fundusze pana Marcina zmniejszyły się bardzo, więc ani można już było myśleć o większych reparacjach.

Jeżeli pan Marcin z okien swego kantoru widział, co się działo u Ofmana, to Ofman widział równie dobrze, a może nawet lepiej, co się działo u niego – czego najlepszym dowodem było, że w chwili bardzo krytycznej dla pana Marcina zaproponował mu sprzedaż domu i ogrodu. Ale pan Marcin, choć flegmatyczny z natury, zsiniał aż z gniewu i nawymyślał mu po szlachecku. Niemiec zniósł obelgi z tak zimną krwią, jak niegdyś drwinki burmistrza, i pomyślał sobie prawdopodobnie, że i na niego przyjdzie kiedyś kolej wymyślać, tylko trzeba czekać cierpliwie.

Odtąd pan Marcin czuł do sąsiada dziwną, niewytłumaczoną niechęć, a ta wzmogła się jeszcze od czasu, gdy ten sam obywatel Tecki, którego niegdyś uratował od subhastacji, dla oddania należności Domowi Handlowemu, pożyczył od Ofmana pieniędzy i wymógł znów poręczenie na słabo opierającym się panu Marcinie. Spisano umowę u Ofmana, żeby przypadkiem pani Orecka nie domyśliła się, o co idzie, po czym pan Marcin poszedł do domu najprzód, dla niepoznaki, a Tecki miał w kwadrans potem przyjść do niego z pieniędzmi. Ale minął kwadrans jeden, drugi, trzeci, mijają godziny i wieczór nadszedł, a Teckiego jak nie było, tak nie było.

– Przyjdzie jutro – powiedział sobie pan Marcin, nie uczuwając najmniejszego niepokoju – musiało go coś w mieście zatrzymać.

Ale nazajutrz na próżno Teckiego i pieniędzy cały dzień wyglądał: dopiero wieczorem zjawił się posłaniec z listem, w którym pan Tecki tłumaczył mu, że nagły interes zmusił go wczoraj do natychmiastowego powrotu do domu, i przeproszał, że zwrot należnej Domowi Handlowemu sumy musi jeszcze na sześć miesięcy odłożyć – ale zdrowie jego żony jest tak nadwyrężone, że doktor kazał bezzwłocznie wysłać ją do wód – czemu on, pragnący ratować życie matki kilkorga dzieci, sprzeciwić się nie może.

Nagły strach ogarnął pana Marcina po przeczytaniu tego listu, ale uspokoił się wkrótce argumentem, że Tecki jest przecież uczciwym człowiekiem, że go zna; że odda pieniądze niezawodnie za sześć miesięcy, kiedy tak mówi; że wreszcie nie można mu się dziwić, iż chce ratować żonę! Czyż on sam, Marcin Orecki, nie oddałby wszystkiego, co posiada, dla ratowania swojej? On by duszę zastawił!

Mimo takich i tym podobnych, samemu sobie czynionych perswazji stracił apetyt i humor, chudł coraz bardziej, a włosy jego niedawno jeszcze szpakowate, zupełnie prawie pobielały. Po upływie zapowiedzianych sześciu miesięcy, podczas których Tecki systematycznie unikał wszelkiego z panem Marcinem spotkania, ten ostatni zdecydował się na krok energiczny, to jest, postanowił sam się upomnieć o pieniądze i zmyśliwszy jakiś niespodziany interes przed żoną, pojechał do niego. Przez całą drogę układał sobie szereg ostrych wyrzutów, jakimi go miał przywitać – ale gdy ten, dla kogo były przygotowane, przyjął go z otwartymi ramionami¹⁴, nie miał odwagi wypowiedzieć ich tak obcesowo, jak sobie był zamierzył, i uczynił to w najłagodniejszej formie. Gospodarz naturalnie ani

¹⁴ z otwartymi ramionami – dziś popr. forma: z otwartymi ramionami. [przypis edytorski]

myślał zaprzeczać, przyznawał się do winy, przepraszał i solennie obiecał przywieźć pieniądze w jak najkrótszym czasie.

Ugoszczony, wyściskany, wyczałowany, obdarowany olbrzymim szczupakiem, pół tuzinem kuropatw i dwoma zajęciami pan Marcin odjechał z dobrą myślą i mocniej niż kiedykolwiek przekonany, że Tecki jest porządnym człowiekiem. Zresztą termin zawartej z Ofmanem ugody obowiązywał dopiero za rok pana Marcina. Tylko tego Niemca coraz bardziej nie znosił.

Zauważył, że od jakiegoś czasu Ofman bacznie przyglądał się jego posesji, jakby notował sobie wszystkie uszkodzenia i obliczał koszty ich naprawy albo układał w myśli plany na przyszłość – i na sam widok jego kaftana niebieskiego, włóczkowego i fajeczki porcelanowej łagodny ten człowiek uczuwał napady głuchej, bezsilnej wściekłości, a po niej bolesne ściśnięcie serca, podobne temu, jakie czuć musi niezawodnie drobna muszka zaplątana w sieć pajęczyny na widok spuszczonego się ku niej pająka. Świat należy do energicznych, powiadają, a Niemiec dodaje po cichu, że i do cierpliwych...

Dla uzupełnienia portretu Ofmana dodać musimy, że rozumny ten człowiek, umięjący pokonywać wszelkie trudności, jednej nie zdołał pokonać: oto że, choć dość długo mieszkał w M., nie mógł jednakże nauczyć się po polsku. Obejście jego z panem Marcinem, w miarę zmiany stanowiska, ulegało też niejednokrotnie przemianie. Gdy kupił bagno za swoje kilkanaście talarów, kłaniał mu się nisko, z daleka już zdejmując czapkę; zostawszy właścicielem lasów i dwóch statków, ograniczył się na uchylaniu czapki, z gestem umiarkowanie grzecznym; a od czasu, jak miał w szufladzie jego podpis, nie zdejmował czapki wcale, tylko kiwał głową.

II

Urządzenie domu pana Marcina miało wszelkie cechy pańskości i bogactwa: były tam aksamity na meblach, były zwierciadła, dywany, obrazy, brązy i kryształy, a wszystko składało się na całość imponującą z daleka, a uderzającą smakiem estetycznym i wytwornością; dopiero przy bliższym rozpatrzeniu widać było, że te dywany i aksamity, resztki dawnej świetności, były bardzo zniszczone i spłowiały. Służba chodziła w wytartej liberii, ozdobionej dużymi herbowymi guzikami, i liczniejsza, niż potrzeba: było to jedno z długiego szeregu ich dawnych szlacheckich nawyknień, jakich, pomimo utraty dziedzicznego majątku i kilkoletniego mieszkania w mieście, pozbyć się nie umieli. Pan prędzej może byłby się przerobił na mieszczanina, ale pani, córka magnata, wychowana w atmosferze zbytku, nie mogła przywyknąć do zmiany stanowiska, choć z konieczności zgodzić się nim musiała. Doświadczenie, będące zwykle najlepszą szkołą życia, w tym przynajmniej względzie nie wywarło na nią swego wpływu: nic bowiem nie zapomniała i niczego się nie nauczyła. Im większa przestrzeń czasu oddzielała ją od minionej niepowrotnie przeszłości, tym z większą trudnością zносиła ciężar obecnej egzystencji – a jeszcze nieopatrność męża nabawiła ją śmiertelnej trwogi o przyszłość.

Chwilami w duszy jej powstawał gwałtowny bunt przeciwko takiemu stanowi rzeczy. Wówczas czyniła mężowi gorzkie wyrzuty i dostawała płaczu nerwowego, po którym następowała zawsze długa bezsilność i apatyczna rezygnacja. Znękany jej umysł potrzebował koniecznie rozrywki, zmiany miejsca, a wąż jej zdrowie cieplejszego klimatu – o tym wszystkim jednakże myśleć nawet nie było można. Coraz bardziej pogarszający się stan interesów wymagał znacznych ograniczeń w trybie życia, ale możliwość takiej zmiany nawet przez myśl pani Oreckiej nie przeszła: komfort był tej kobiecie tak potrzebny do życia, jak powietrze do oddychania. Zdawało się, że po nie woskowanej posadzce nie umiałyby chodzić, a potrawy podane na porcelanie lub srebrze miały dla niej inny smak niż na fajansie lub glinie. Ubiór jej, chociaż skromny, zrobiony był zawsze z wyborowego materiału i odznaczał się wytwornością formy. Twarz, nosząca ślady wielkiej piękności, miała wyraz troski i zmęczenia, do czego może przyczyniło się kilkoletnie cierpienie nerwowe, podkopujące cały organizm. Co tylko miało jakkolwiek bądź własność wzmacniającą, wszelkie ekstrakty, esencje, wina stare, wszystko to sprowadzał dla żony pan Marcin, ale bez żadnego skutku, nie domyślając się, że on to właśnie swoją nieprzezornością zatruwał jej spokój i rujnował jej zdrowie i że zmiana położenia materialnego na lepsze od razu postawiłaby ją na nogi. Po całych dniach leżała na kanapie z oczyma utkwionymi w sufit albo z książką, której nie czytała – nie mając ani siły, ani ochoty do zajęcia się gospodarstwem, ani potrzeby wreszcie, bo cóż by w takim razie robiła panna służąca? Mimo to, wąż, delikatna dłoń pani Marcinowej trzymała rządy mocno: czuli to wszyscy i ulegali jej, zacząwszy od pana Marcina, mówiącego żonie wszystko, wyjąwszy tego, co mogło jej się nie podobać.

Jedyna córka państwa Oreckich, Helenka, miała w sobie po trosze z charakteru obojga rodziców. Z ojca wzięła nieograniczoną wiarę w ludzi i serce pełne współczucia dla ludzkiej niedoli; z matki wytworność, wrażliwość nerwową niemal i wstręt do wszelkiego trudu. Jakże zresztą mogła zasmakować w pracy, kiedy od dzieciństwa odsuwano od niej trud wszelki? Nie znała prawie, co to chodzić piechotą, bo w stajni stały konie, gotowe w każdej chwili na rozkazy; nie wiedziała, co ubrać się samej lub rozebrać, bo to był obowiązek panny służącej, a po delikatnych paluszkach znać było, że rzadko kiedy spotykały się z igłą. Wdzięczna jej postać uderzała wybujałością wzrostu i delikatną budową; toteż oboje rodzice drżeli o swoją jedynaczkę i wmawiali w nią słabe zdrowie, co słysząc ciągle dokoła siebie powtarzane, panienska nie tylko uwierzyła, że jest zagrożona, ale w przesadzonej obawie o siebie unikała wszystkiego, co ją męczyło.

Całym jej zajęciem aż do siedmnastego roku życia było uczyć się lub bawić; a od chwili, gdy *miss Mary* i *mademoiselle Madeleine* opuściły ją, to jest od kilku tygodni, nie wiedziała, co robić z czasem – i jeżeli matka jej nie potrzebowała, spędzała dni przy fortepianie. Jedna z guwernantek Helenki wpłynęła na jej postępy w graniu, ale po swojemu, po kobiecemu, płytko i jednostronnie. Co

było świetnością i błyskotą, to spod jej palców dobrze wychodziło, ale każda rzecz głębsza stawała się raczej zgmatwaniem niż rozkryciem skarbów. Szopena lubiła bardzo, szczególnie mniejsze jego utwory, jak nokturny, walce, ale odziewała je przesadną sentymentalnością, od której jej samej rozstrajały się nerwy, ale którą właśnie matka w niej uwielbiała, mniemając, że córka wydobywa z siebie najtkliwsze kobiece uczucia, że zatem jest zachwycająca, jak mało która z grających. Wiele też godzin pochłaniało jej czytanie książek w kilku językach, nie wyjmując ojczystego, i marzenia, których przedmiotem była jej własna przyszłość, podobna do przyszłości bohaterek wszystkich kończących się szczęśliwie powieści.

Zajęcia te, nie mogące być w żaden sposób nazwanymi pracą, jako nieobowiązkowe ani w systematyczny ład ujęte, nie wypełniały życia dziewczęcia – toteż często przy nich poziewała, a ładna jej twarzyczka pozbawiona była głębszego wyrazu. Z tego wszystkiego widać, że wychowaniu Helenki brakowało zupełnie gruntu realnego. Wielkie jej zdolności rozwinięte były tylko jednostronnie: kształcono ją głównie w językach i talentach, czyniących kobietę bardzo przyjemną w salonie, ale niepożyteczną w życiu codziennym – i tylko własnemu pragnieniu wiedzy była winna, że umiała trochę więcej, niż ją starano się nauczyć. Umysł, przebywający ciągle w krainach fantazji, nie rozumiał warunków życia rzeczywistego, a wrodzona bystrość i inteligencja przytępione były bezczynnością. Jaką dziewczynką ta w przyszłości stanie się kobietą, nie można było wiedzieć. W duszy jej drzemały siły ukryte, które życie tylko mogło rozbudzić albo uśpić zupełnie: były tam zarody energii, była gotowość do poświęceń, odwaga i zapał – szlachetne kruszce, potrzebujące koniecznie próby ognia dla nabrania wartości i blasku.

Helenka widziała stopniowy upadek filii Domu Handlowego, ale nie przypuszczała, aby upadek ten tak blisko dotykał jej ojca – miała mu też za złe, że tak te sprawy brał do serca. Ojciec w jej przekonaniu był zamożnym kapitalistą; a choć o cyfrę jego kapitałów nie pytała nigdy, bo miała wrodzony wstręt do cyfr, sam fakt, że istniały, wystarczał jej. O interesach nie mówiono z nią nigdy, przyszłość więc nie przestraszała jej bynajmniej, choć z różnych rzeczy miarkowała, że nie wszystko idzie jak należy. Były to jednak w jej mniemaniu drobnostki, dające się łatwo usunąć, i niewarte, żeby ojciec tracił dla nich apetyt. Patrzyła na świat oczyma młodości i widziała wszystko w różowych barwach. Od kilku tygodni zajmowała ją myśl o balu, mającym się odbyć u jej stryja, pana Bartłomieja, zamożnego obywatela, na której to zabawie Helenka miała po raz pierwszy ukazać się jako panna dorosła i, niby rycerz świeżo pasowany, miast szpady, otrzymać długą suknię. Napisano po suknię do Warszawy, a sama Helenka nakreśliła plan tego arcydzieła sztuki niewieściego. Tymczasem liczyła niecierpliwie dni, przedzielające ją od balu, i marzyła o nim na jawie i we śnie. Zdawało jej się, że będzie to początek poematu jej życia i wkrótce zaraz po tym początku, jak w bajce, przyjedzie do niej piękny królewicz i złoży u jej stóp serce i majątek.

III

Stary dwór gorzał światłem; sanki, bryczki, powozy wjeżdżały przez wrota na dziedziniec i kolejno ustępowały sobie miejsca przed gankiem. Odgłosy muzyki mieszały się ze szczekaniem psów i wołaniem stangretów. Na dworze było ciemno mimo śniegu pokrywającego ziemię, a dwie latarnie, zawieszane wysoko na słupach przede dworem, zaledwie na kilkanaście kroków dokoła oświetlały przestrzeń.

W ganku, ugarniowanym soplami lodu, stoi w baraniej czapce sam pan Bartłomiej i przyjmuje gości, choć mróz na dworze trzaskający. Byłoby komu zastąpić go co prawda, bo ma synów, ale pan Bartłomiej jest człowiekiem starej daty i po staremu obowiązki gospodarza pojmuje – słynie też z gościnności w okolicy szeroko i daleko. Światło latarni pada wprost na tę wysoką, barczystą postać, z gęstą siwą czupryną i wąsem zawieszonym, ożywioną wyrazem jowialnej, rubasznej wesołości.

– Jak się macie? – wołał jędrnym głosem – niech wam Bóg da zdrowie, żeście przyjechali! Kochany radca! Uniżony sługa pani radczyni dobrodziejki! Ach, panna Anastazja! Serdecznie dziękuję, odśluzę się na weselu. Spieszcie się, państwo, z wysiadaniem, bo pomarzniecie. Całuję rączki pani sędzinie, gdzie mężulek? Cha, cha, cha, nie może się wygramolić nieborak! Jezu Chryste, kogoż to ja widzę? Prezesa? A niechże cię uściskam! A tośmy się kopę lat nie widzieli! Moje uszanowanie pani prezesowej!

Takie i tym podobne wykrzykniki trwały dopóty, dopóki powozy nie rozjechały się powoli ku stajniom. Na samym końcu podsunęła się pod ganek karetka na saniach, z dużą walizką z tyłu, zaprzężona w cztery konie.

– A wy skąd? – krzyknął pan Bartłomiej na stangreta – czy nie z M.?

– Z M., wielmożny panie – odrzekł zagadnięty, zeskakując z kozła i otwierając drzwiczki.

Z karety wyskoczyła zakapturzona postać niewieścia. Z lekkości tego skoku można było od razu zgadnąć, że to jest coś młodego, a dwoje wielkich oczu, błyszczących jak dwa ognie przy świetle latarni, pozwalało się domyślać, że to jest także coś ładnego. Pan Bartłomiej otworzył ramiona i porwał tę postać w objęcia.

– Jesteś przecie, robaczku, chwała Bogu! Myślałem, że już nie przyjedziecie. Jak się masz, robaczku? Jak się masz? A to ci zmarzył buziaczek, no! Kto też widział tak późno przyjeżdżać, kiedy tyłu ładnych chłopców czeka! Doprawdy, że to nie do darowania! A matka jest?

– Jest, stryjasku, a jakże! Jest i ojczulek!

Kto późno chodzi, sam sobie szkodzi, mówi przysłowie, i prawdę mówi. Zanim przybyłe panie w przygotowanym dla nich pokoju ogrzały się i rozgościły, zanim młodzianka synowica¹⁵ pana Bartłomieja zdołała uwolnić się z uścisków kuzynek i odpowiedzieć na wszystkie pytania: jak? co? dlaczego? , zanim panna służąca rozpakowała rzeczy i ubrała najprzód panią, a potem panienkę, upłynęła długa godzina. Pan Bartłomiej na dobre się niecierpliwił. Pukał co chwila do drzwi pytając: „A czy już? a czy jeszcze? a czemu tak długo?” Narzekał na kobiety, że się ze wszystkim guzdrzą. Trudno, gniewaj się, jak chcesz, panie stryju, panienkę ubrać trzeba, bo to nie wieczór byle jaki, ale bal całą gębą, bal, na który zjechała się cała okolica. Trzeba na nią włożyć bladuróżową powłóczystą sukienkę z gazy tak lekkiej i przezroczystej, że jest obawa, aby się za dotknięciem nie rozwiąła jak mgła poranna; trzeba tę sukienkę przybrać pierwiosnkami, stokrotkami i innymi jeszcze kwiatkami, które przynosi z sobą wiosna. Trzeba panienki białe ramiona troszeczkę odsłonić i otoczyć je tymi samymi kwiatami, aby przy ich żywych barwach wydawały się jeszcze bielsze; trzeba na koniec we włosy jasne wpiąć parę kwiatów. Pani Orecka, siedząc w fotelu, dawała rozkazy i wskazówki panie służącej, a potem jeszcze poprawiała wszystko własną ręką. Zrobiła ona ofiarę dla córki ze swego

¹⁵ *synowica* (daw.) – bratanica, córka brata. [przypis edytorski]

zdrowia, przybywając na ten bal – ale chciała ją sama po raz pierwszy w świat wprowadzić i być świadkiem jej powodzenia, o którym nie wątpiła.

Helenka, napatrzwszy się do syta w zwierciadło, zwróciła całą uwagę na ogon tak dla niej upragniony, a pasujący ją odtąd na dorosłą pannę, gdy wszedł zniecierpliwiony pan Bartłomiej, prowadząc z sobą pana Marcina, któremu kazał dać admonicję kobietom za guzdranie się. Wszedł i stanął zdumiony. Odkąd znał swoją synowicę, nigdy jeszcze nie widział jej tak piękną, nigdy jeszcze delikatny owal twarzy nie wydał mu się tak szlachetny ani rysy tak regularne; nigdy jej cera delikatna nie była tak przejrzysta jak w tej chwili, gdy ją rumieniec szczęścia na widok podziwu stryja oblewał, ani oczy tak pełne uroku jak teraz, gdy błyszczała w nich zarazem radość i obawa, ciekawość i pragnienie poznania tego świata, do którego się rwała całą duszą.

Panu Bartłomiejowi aż się żal zrobiło, że żadna z jego córek nie mogła jej urodą dorównać.

– Co za śliczna dziewczyna! – przemówił, ochłonawszy ze zdziwienia – niech mnie diabli porwą, jeżeli dziś wszystkim chłopcom nie zawrócisz głowy! – I, podając ramię bratowej, dodał: – No, Marcinie, prowadź twoją córkę.

Gdy panna Helena weszła do sali, wsparta na ramieniu ojca, rozszedł się szmer i dały się słyszeć szepty. Pan Bartłomiej nie mógł się opędzić prośbom o prezentowanie i zanim panienka miała czas oswoić się z olśniewającym blaskiem świateł i rozejrzeć w tłumie, już w tańcu okrążyła salę. Ledwie ją pierwszy tancerz posadził, już ją zamawiał drugi; nie było ani chwili czasu do namysłu. Wiedziała tylko, że tańczyła, z kim, nie wiedziała; żadnemu ze swych tancerzy nie miała czasu się przypatrzeć – a jak się który nazywał, nie wiedziała, choć stryj wszystkie nazwiska jej wymieniał. Kto by zresztą tyle nazwisk pamiętał!

Nareszcie mogła trochę odetchnąć, rozpatrzeć się i myśli zebrać, jeżeli zebranie myśli możliwe jest na balu. Orkiestra zaczęła grać kujawiaka, tańce na chwilę ustały, ale za to w sali zrobiło się gwarniej. Z miejsca, jakie Helenka sobie do chwilowego odpoczynku wybrała, dochodziły ją urywki rozmów różnych i przepływały mimo jej uszu jak muzyka, z oderwanych dźwięków złożona, nie zostawiająca po sobie śladu. Jeden przecież głos wyróżniła – był to głos jej stryja.

– Pan nie tańczysz, panie Stefanie? – mówił pan Bartłomiej – wstydź się waszmość. Taki tęgi chłopiec i pozwala nogom próżnować! Za moich czasów inna była młodzież. Ja bym teraz jeszcze was wszystkich przeskoczył!

– Ależ tańczyłem, szanowny panie, tańczyłem kontredans i walca.

– Zamiast gadać, zawiń się waść koło której panny i wyskocz. Wszakże cię prezentowałem mojej synowicy?

– Nie, panie.

– Nie? – powtórzył jakby zdziwiony – a to chodźże, chodź.

– Chętnie, szanowny panie, ale słyszałem, że jest już zamówiona do wszystkich tańców.

Pan Bartłomiej roześmiał się na całe gardło.

– No, no, nie troszcz się, wyproszę dla ciebie jednego.

Helenka podniosła oczy i ciekawie spojrzała na tego, którego jej stryj prowadził. Był to bardzo piękny młodzieniec; czoło, jak z marmuru wykute, otoczone było bogatymi pierścieniami ciemnokasztanowatych włosów; oczy patrzyły śmiało, a nawet wyzywająco; nos kształtny, prosty, nadawał twarzy charakter umiarkowanej stanowczości, a usta, na pół schowane pod wąsem, miały już pewien wyraz znużenia i bajronizmu. Wzrost piękny, obejście znamionujące człowieka światowego, frak najświeższej mody i szapoklak, trzymany z pewnym niedbałym wdziękiem, dopełniały tej postaci młodzieńczej, będącej celem spojrzeń i skrytych westchnień wszystkich panien.

– Pan Stefan Jerski – rzekł pan Bartłomiej prezentując.

– Szanowny gospodarz obiecał mi w imieniu pani kujawiaka – rzekł, usuwając barykadę z krzeselka i składając jej ukłon głęboki – wolnoż mi odwołać się do tej obietnicy?

– I owszem – odrzekła powstając – obietnicę stryja przyjdzie mi wypełnić tym chętniej, że lubię ten taniec.

– Chłopskiego! – krzyknął na muzykę pan Bartłomiej i wnet skrzypki, jakby posłyszały zaklęcie, zrobiły się smętniejsze, bastela jeła raźniej basować, od ucha, jak to mówi, a za nimi we wszystkich instrumentach inne ozwało się życie; a było instrumentów kilkanaście, bo muzykę sprowadzono aż z miasta. Nie był to już ów salonowy, z niemieckim walcem pobratany taniec, ale kujawiak prawdziwy, w całej swojej oryginalnej poezji i prostocie.

Stefan jedną ręką objął swoją tancerkę, drugą z kapeluszem podniósł w górę i puścił się przez salę.

Kto kujawiaków tańczonych nie widział, ten o charakterze tego tańca nie może mieć dokładnego pojęcia. Już sam początek jest owacją dla tej, która została wybrana. Tancerz zdaje się mówić: patrzcie i zazdroście mi! Potem ujmuje drugą rękę towarzyszkę i zaczyna z nią krążyć z wolna, z namysłem, jakby się broniąc owładającemu nim urokowi – zwyciężony i wciąż przejęty, zgina przed nią kolano, a ona wzruszona chyli się w jego objęcia. Tu już taniec staje się iście wichrowaty. On się zrywa jak burza i porywa ją z sobą, żeby znowu za chwilę paść przed nią na kolana – i tak jest coraz częściej, nareszcie co zwrot, a tempo coraz szybsze, staje się w końcu szalone. Rzadko też która tancerka nie dostanie zawrotu głowy i wytrwa do końca. Helenka tańczyła lekko i zręcznie, nie dotykając prawie ziemi; Stefan jak wichur, który gałązkę kwiatu porwał z sobą.

Gdy skończyli nareszcie, posypały się rzęsiste oklaski. Panowie trochę już podchmieleni bili brawo i wołali o wino na wiwat. Zrobił się hałas i wrzawa; jedni, brząkając kielichami, wołali: „Niech żyją Kujawy!” – inni gwałtem chcieli urządzić Kujawiakom owację przez obniesienie ich tryumfalne po sali. Pan Bartłomiej, zaniepokojony o całość swojej synowicy, biegał od jednych do drugich, perswadował – nie mógł nikogo przekrzyczeć, lecz udało mu się wreszcie zalać winem całą sprawę. Przy brzęku kielichów i wśród wiwatów ogłoszono pannę Helenkę królową balu.

Serce matki uderzyło radością i dumą. Wobec tryumfów córki pani Marcinowa zapomniała o swoich nerwach – a liczne towarzystwo, widok świetnych toalet, muzyka, wreszcie przerwa w monotonnym i odosobnionym życiu, jakie wiodła od lat kilku, podziałały na nią skuteczniej i lepiej niż wszystkie krople. Błada jej i zawsze zmęczona twarz ożywiła się lekkim rumieńcem i przybrała pozory zdrowia, a wyraz gniojącej troski ustąpił miejsca wyrazowi macierzyńskiej dumy i zadowolenia.

Stefan, stojący ciągle za krzesłem Helenki, niepokoił panią Orecką. Skinęła wachlarzem na pana Bartłomieja i spytała go wprost, co to za jeden i jaki jego stan majątkowy.

– Bądź, siostra, spokojna – odrzekł zapytany – wioskę ma ładną, a druga mu się dostanie po najdłuższym życiu rodziców. Gospodarz nietęgi, ale się wprawi powoli; myśliwy zawołany; ptactwo strzela w lot, a do zajęcia trafia o zakład. Dalibóg! W karty gra, ale szczęśliwie, i taką, powiadam siostrze, szelma ma zimną krew, że ani drgnie. Od kieliszka nie stroni, przy tym chłopiec gładki, wie, jak trzeba skakać koło panien; miele językiem tak, że ani się nie zająknie, lepiej niż nasz proboszcz na kazaniu, jak siostrę kocham! Był w Paryżu, co siostra chcesz, skończony!¹⁶ kawaler!

Pani Marcinowa kiwnęła głową na znak, że jej to objaśnienie wystarcza, i pomyślała sobie:

„Nie jest to wprawdzie dosyć świetna partia dla mojej córki, bo ze swoją pięknnością i rozumem może ona zrobić lepszą karierę, ale tymczasem nie trzeba odstręczać tego młodzieńca.”

Pan Marcin zapomniał także na chwilę o swoich troskach, a powodzenie córki napełniło go, równie jak jego żonę, świetnymi co do jej przyszłości nadziejami. Dziwnym zbiegiem okoliczności znalazł pomiędzy gośćmi brata wielu swoich dłużników. Ten i ów w pierwszej chwili miał ochotę schować się na jego widok, ale Tecki pierwszy postąpił ku niemu z wyciągniętymi rękami.

– Drogi, kochany Marcin! Jak się masz, bracie?

Za Teckim i inni, nabrawszy otuchy, witali go, ściskając i całując, i wzięwszy pod rękę, poprowadzili do gabinetu obok, gdzie stały butelki starego, wytrawnego węgryna.

¹⁶ skończony – tu: doskonały. [przypis edytorski]

– Panowie – odezwał się Tecki – wypijmy zdrowie naszego kochanego Marcina, człowieka rzadkiej w dzisiejszych czasach dobroci i zasłużonego krajowi obywatela. Niech nam żyje sto lat!

– Oby się tacy na kamieniu rodzili – wtrącił drugi.

– Wypijmy, wypijmy! – powtórzyli inni. – Niech nam żyje!

– Takich nie sieją – szepnął ktoś półgłosem – sami wschodzą.

Pan Marcin, zaatakowany w stronę swojej obywatelskiej zasługi, będącą u niego stroną najsłabszą – zapomniał o powziętym w pierwszej chwili zamiarze skorzystania ze sposobności dla upomnienia się o swoją należność. A wypiwszy kilka kieliszków, do których go gwałtem zmuszono, tak się rozrzewnił, że wszystkich po kolei uściskał.

Stefan prowadził Helenkę do wieczerzy i, siedząc przy niej cały czas, zabawiał ją rozmową – a tak się nią zajął wyłącznie, że nawet nie słyszał, co do niego mówiła siedząca z drugiej strony panna sędzianka. Rozmowa była wdzięcznym a lekkim *pot-pourri*¹⁷, którego nikt nie byłby w stanie powtórzyć, a tym mniej streścić, z tak różnorodnych składało się motywów. Mówiono o balu i modach; o Wenecji, Rzymie i Neapolu; o Bajronie, poezji i romantyczności wieków średnich; o muzyce, miłości, kwiatach i blasku księżycy – słowem, o wszystkim i o niczym. Stefan był mistrzem w tego rodzaju konwersacji salonowej i z niepospolitą zręcznością przechodził od przedmiotu do przedmiotu, ślizgając się po wszystkich, a nie dotykając głębiej żadnego. O czymkolwiek bądź mówił, oczy jego, spoczywające prawie bezustannie na twarzy towarzyszki, mówiły jej, że jest czarująca, że podbiła jego serce – a ta mowa bez słów upajała ją więcej niż najpiękniejsza muzyka. Dorodny młodzieniec podobał się bardzo Helence: zachwycała ją jego elegancja, jego wytworne maniere, jego ujmująca powierzchowność, a najwięcej może jego dla niej uwielbienie, a chociaż w tej długiej rozmowie nie słyszała od niego nic takiego, co by dawało miarę jego wewnętrznej wartości – dopowiedziała to sobie sama. W jej przekonaniu musiał być ideałem mężczyzny i serce dziewczęcia uderzyło dla niego jakimś nowym, nie znanym dotąd uczuciem. Poemat jej życia zaczął się od tej chwili. Była zakochana, a przynajmniej tak się jej zdawało.

Tańce przeciągnęły się do rana. Pan Bartłomiej nie kazał otwierać okiennic, aż dopiero gdy już słońce było wysoko, a w sali jadalnej na stole ustawiono dymiące półmiski z bigosem, wazy z barszczem, poncz i inne ostre a orzeźwiający posiłki. Śniadanie było dla wielu osób hasłem do odjazdu. Stefan odjechał, unosząc z sobą obietnicę Helenki, że będzie się znajdowała na balu kostiumowym u barona i przetańczy z nim pierwszego kontredansa.

Przy pożegnaniu powiedzieli sobie wiele rzeczy błahych dla obojętnych ludzi, a dla nich mających znaczenie głębokich, im tylko wiadomych tajemnic.

¹⁷ *pot-pourri* (fr., z hiszp. *olla podrida*: potrawa składająca się z różnych gatunków mięs i warzyw) – utwór muzyczny złożony z fragmentów znanych melodii, najczęściej arii operowych. [przypis edytorski]

IV

Rozgłos o tym balu, a z nim razem rozgłos o piękności panny Oreckiej, rozszedł się po całej okolicy. W kilka dni potem poszedł do Warszawy pod adresem modniarki gruby list z dokładnymi instrukcjami, dotyczącymi się nowej toalety. Dla lepszego zaś zrozumienia instrukcji dołączony był do listu, jako komentarz, rysunek powleczony wodnymi farbami, a wykonany ręką Helenki. Miał to być kostium leśnej bogini – suknia przybrana bluszczem, błyszczącym od rosy, paprociami, mchem i porostami drzewnymi – pomysł nowy i całkiem oryginalny.

Pan Marcin, gdy się o tym drugim balu dowiedział, sposepniał bardzo, bo przeczuwał, że mu on sporą sumę pieniędzy z kieszeni wyciągnie – ale żona wytłumaczyła mu, że gdy się ma córkę dorosłą, nie można jej chować przed ludźmi. Westchnął więc tylko i zamilkł.

Pani Orecka źle bardzo spała tej nocy. Obudziły ją jakieś biegania po ulicy, hałasy nawoływania – co wszystko razem, dając pole najrozmaitszym przypuszczeniom i domysłom, straszniejszym jeden od drugiego, nabawiło ją bicia serca. Posłana na wywiady służąca przyniosła wiadomość, że na przedmieściu pali się dom starej Mośkowej, ale państwo nie mają się czego obawiać, bo to daleko stąd, a zresztą już ogień ugasil. Wiadomość ta uspokoiła panią. Poleciała służącej obejść ze świecą cały dom dla przekonania się, czy nie ma gdzie ognia zapróżonego, zażyła anodyn na cukrze, kropli laurowych na wodzie i usnęła. Pan Marcin zaś, który dotąd spał smacznie, po usłyszeniu sprawozdania służącej, jak zaczął się na łóżku przewracać, poprawiać i wzdychać, tak się poprawiał, przewracał i wzdychał do samego rana, nie zmrużywszy oka ani na chwilę.

Jedna tylko Helenka miała niczym nie zakłócony spoczynek, bo do jej pokoiku na górze, jako położonego od strony rzeki, hałasy uliczne nie dochodziły tak wyraźnie.

Nazajutrz rano w kuchni opowiadano sobie różne szczegóły o pożarze. Mośkową znali wszyscy, bo roznosiła po mieście zapałki i przynajmniej raz w tydzień zjawiała się w każdym domu. Stangret Józef i lokaj Antoni byli nawet na miejscu katastrofy i mówili, że z domu Mośkowej została się tylko kupa gruzów i kilka nie dopalonych desek – i że gdyby się ta chałupa nie była spaliła, to pierwszy lepszy wichur pewnie by ją przewrócił, bo się już bardzo na jedną stronę pochyliła. Dalej mówili, że biedna stara zaledwie zdążyła uciec ze swymi wnukami, zostawiwszy w ogniu pościel, towaru za dwa ruble i jeden trzyrublowy papierek, bo drzewo spróchniałe spłonęło w jednej chwili jak zapałka. Wypowiedziawszy to wszystko, Józef dodał, że „Żyda nie ma czego żałować, bo oszukaństwem żyje” – a Antoni przywodził, że „tak jest, do wszystkich diabłów!”

W tym samym przedmiocie rozmowa toczyła się w pokoju jadalnym. Pani, siedząc przy stole w eleganckim negligu¹⁸, opowiadała córce o niespokojnej nocy, jaką miała z tego powodu, i o biciu serca, które do tej pory jeszcze niezupełnie się uspokoiło.

– Ale czemu to ojca nie ma przy śniadaniu? – spytała po chwili przerywając opowiadanie – czy posyłałaś, Helenko, Antoniego do kantoru?

– Ojciec wyszedł od godziny, mameczko – odpowiedziała – widziałam sama, jak wychodził.

Pani Orecka zdziwiła się.

– Wyszedł bez śniadania – szepnęła – to coś nadzwyczajnego. Ciekawam, gdzie też mógł iść!

– Może ojciec poszedł na rynek dowiedzieć się o cenach zboża; dziś jest dzień targowy.

– Co ojca obchodzą ceny, gdy śpichrz¹⁹ stoi pustkami – odrzekła z westchnieniem – toć w tym roku ani jeden statek Domu Handlowego nie płyne do Gdańska! Zresztą nie wyszedłby nigdy bez śniadania. Coś w tym być musi. Nalej mi, Helenko, herbaty, tylko słabej; tak, dobra. A teraz dolej śmietanki do pełnego i podaj mi biszkopty. A to co znowu? – zawołała nagle, spojrzawszy w okno. – Helenko, czy widzisz?

¹⁸ neglig – tu: strój domowy. [przypis edytorski]

¹⁹ śpichrz – spichlerz, miejsce magazynowania zboża. [przypis edytorski]

Środkiem ulicy szedł pan Marcin w szubie niedźwiedziej i niósł pod futrem jakiś duży przedmiot, któremu widać było tylko rudą, kędzierzawą głowę i dwoje dużych, niespokojnie biegających oczu. Za nim szła stara Moškowa bez peruki i rwała sobie włosy z głowy, głośno lamentując; dwoje malców wrzeszczących i zabrudzonych dreptało przy niej, trzymając się jej spódnicy, a za Moškową postępowała poważnie koza z opaloną brodą i beczała. Całemu temu orszakowi towarzyszyła gromada uliczników, naśladowujących beczenie kozy na różne sposoby.

– Że też ojciec musiał koniecznie zrobić z siebie widowisko – rzekła pani Orecka, czerwieniąc się – i sprowadza nam tu Żydów na kark. Co my z nimi pocniemy?

– Moja imość, każ dać zaraz tym biedakom jeść – wołał pan Marcin, wchodząc do pokoju i rzucając czapkę na krzesło – oni jeszcze dziś nic w ustach nie mieli! Kazałem im się tymczasem ogrzać w kuchni. Ale też zimno na dworze aż strach! Daj no herbaty, dziewczusko, bom zmarzł.

– Mój Marcinie, jakże też można było tutaj całą rodzinę sprowadzać? – przemówiła z wyrzutem pani, podczas gdy Helenka pomagała ojcu zdjąć futro. – Gdzież ja ich pomieszczę? Dać im było coś w rękę i na tym skończyć.

– Moja imość, ino się nie gniewaj. Ady tam taka bieda te niech ręka Boska broni! Wszystko się spaliło. Siedziało to biedactwo na bruku i płakało; jakże ich miałem tak zostawić! Że też imości wszystko się nie podoba! Olaboga, laboga!

– Alboż to Moškowa nie ma tutaj krewnych? Markus to jej szwagier przecie i pewnie nie byłby jej opuścił. Żydzi się trzymają między sobą.

Pan Marcin poskrobał się w głowę.

– Ano prawda, że to jej szwagier – odrzekł – nie przyszło mi to do głowy. Ino już nie marudź, moja imość, bom głodny.

Pani Orecka spojrzała na męża z politowaniem i wyszła.

Uczęstowano pogorzalców wyborną polewką z kartoflami i jeszcze dano każdemu po kawale chleba, który jedli, ocierając łzy. Łzy te nieustająco kapały z oczu starej Moškowej, nic dziwnego, straciła całe mienie! Patrząc na tę twarz pergaminową, wyschłą, spaloną od słońca, nacechowaną w tej chwili wyrazem rozdzierającej boleści, myślało się o słowach psalmisty: „Chleb mój mieszałem z płaczem, a kości moje jako skwarki wyschły”.

Cała służba zbiegła się do kuchni, żeby przypatrzeć się aktorom dramatu i wypytać o szczegóły wiadome dokładnie wszystkim i po sto razy już opowiadane. Józef, twierdzący niedawno, że Żyda nie ma czego żałować, przyniósł ze stajni swoją starą czapkę i podarował Josielkowi – a lokaj Antoni, który ich wysłał do wszystkich diabłów, wcisnął Ryfce w rękę dziesiątkę.

Podczas gdy matka i córka zajęte były przeglądaniem bielizny, żeby wybrać z niej coś dla pogorzalców, pan Marcin jadł śniadanie z apetytem, jakiego już nie miał od dawna. Zainteresowanie się biedną rodziną zajęło na chwilę jego przygnębiony umysł i odsunęło na bok myśli dręczące go jak zmora. Jedząc, wstawał raz po raz od stołu i zaglądał do kuchni. To nasmarował kilka bułek masłem i zaniósł, to wziął garść cukru i dał dzieciom, to znowu nakładał na talerz biszkopty i potraktował²⁰ malców. Tak spacerując ciągle z pokoju do kuchni i z kuchni do pokoju, spostrzegł porzucone na oknie klucze; uradowany z tego odkrycia, otworzył kredens, napakował jabłkami kieszenie, spiesząc się z dokonaniem operacji, zanim żona powróci, i już miał je nieść do kuchni, gdy wszedł Antoni i podał mu na tacy listy i gazety.

Pan Marcin odłożył na bok gazety, a wziął się do listów. Jeden był pisany stylem płaczkliwym z prośbą o wsparcie dla jakiejś biednej wdowy, która co kilka tygodni przypominała się w ten sposób panu Oreckiemu, powołując się na swoje szlacheckie pochodzenie, a drugi z firmą Domu Handlowego na kopercie. Widok tego ostatniego zdziwił przyjemnie pana Marcina. Tak rzadkie od pewnego czasu bywały między nim a Domem korespondencje, że gdy nareszcie jakaś się zdarzyła, było to dla niego prawdziwą uroczystością. Czuł się znowu ajentem, a przed oczyma jego wyobraźni

²⁰ potraktować (tu daw.) – poczęstować. [przypis edytorski]

stawały szeregami cyfry i zdawało mu się, że słyszy znowu turkot wozów, zajeżdżających z odstawami, wołania robotników i odbijanie statków od brzegu.

Rozerznął kopertę i przeczytał, co następuje:

Szanowny Panie!

Ponieważ od dwóch lat ruch interesów filii naszej w M. jest prawie żaden i nie ma widoków powiększenia się na przyszłość – a dalsze utrzymywanie ajentury w tym mieście naraziłoby tylko Dom nasz na straty, przeto Rada Nadzorcza na posiedzeniu z dnia 3-go bieżącego miesiąca postanowiła zwinąć ajenturę, której szanowny pan do tej pory przewodniczyć raczyłeś, i wydelegować jednego spomiędzy siebie dla odebrania od pana ksiąg handlowych, rejestrów i zupełnego zlikwidowania interesów. Delegowany nasz wyjeżdża dzisiaj. Racz pan przyjąć...

Pan Marcin, przeczytawszy ten list, zbladł straszliwie, a przed oczami zaczęły mu biegać różne koła, czerwone, niebieskie, żółte...

– Ojczulku, co to jest?! – krzyknęła Helenka, wchodząca w tej chwili do pokoju. – Czy ojczulek chory? Czy też stało się jakie nieszczęście?

Pan Marcin spojrział na córkę błędnym wzrokiem i szepnął głosem zmienionym:

– Wszystko się skończyło! Nie chcą mnie już... Dają mi dymisję!

Obejrzał się i, poszukawszy poręczy krzesła, osunął się w nie, bo już nie mógł dłużej utrzymać się na nogach.

Helenka objęła ojca za szyję.

– Drogi, kochany ojczulku – mówiła, głaszcząc pieszczotliwie jego rzadkie, siwe włosy – utrata posady to jeszcze nie nieszczęście. Nie jesteśmy przecież biedni; mamy dom, a oprócz tego jeszcze coś...

– Otóż to właśnie, że nic nie mamy prócz domu, który nie przynosi nam żadnego dochodu, a od którego jeszcze podatki płacić trzeba! – wybuchnął. – Miałem majątek, ale większa jego część przepadła u ludzi, a i reszta pewnie przepadnie! Prawda, byłem nieopatrzny, ale chciałem ratować innych. Bóg widział. Nie będziesz miała posagu, moje dziecko, twój ojciec go strwonił! Czy mu to kiedy przebaczysz?

Zapłakał biedny starzec.

– Ojcze, ojcze, nie mów tak do mnie – prosiła płacząc – ja ci nie mam nic do przebaczenia. Chciałeś dobrze, ojczulku, miałeś zawsze złote serce! Obejdę się bez posagu... Czyż ja już jestem taka zła i brzydka – dodała, zaglądając mu w oczy z uśmiechem – że mnie bez pieniędzy nie zechce żaden chłopiec?

Pan Marcin popatrzył na nią z rozrzewnieniem.

Ubogie panny z trudnością wychodzą za męża, moje dziecko – rzekł z westchnieniem – zresztą dalekie to rzeczy jeszcze, a tymczasem nie mamy z czego żyć!

Helenka zamyśliła się bardzo nad tymi słowami.

– Zobaczysz ojczulek, że poradzimy sobie jakoś – rzekła, obcierając sobie oczy – będziemy oszczędzać...

– Oszczędzać! – powtórzył z goryczą. – Alboż wy obie z matką umiecie oszczędzać? Alboż ja to sam potrafię? Czy które z nas kiedy myślało o oszczędności?

W przyległym pokoju dały się słyszeć kroki.

– Słuchaj, Helenko – powiedział prędko pan Marcin, spoglądając na drzwi – nie mów nic o tym matce, bo by się zaraz rozchorowała.

– Mówiłam ci już tyle razy, Marcinie, że Antoniemu koniecznie trzeba sprawić nową liberię – mówiła pani Orecka wchodząc do pokoju z pakietem bielizny, którą panna służąca miała przerobić dla wnuków Mośkowej. – Doprawdy że aż wstyd, jak on chodzi; a ile razy wejdzie do pokoju przy gościach, to aż mi się coś robi!

Ojciec i córka zamienili z sobą spojrzenia.

Nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, pani Marcinowa popatrzyła na oboje i zaraz zmiarkowała, że jest coś niedobrego; a choć pan Marcin, spuszczać oczy, zapewniał, że „nie wie o niczym”, choć się zaklinał na swoją miłość dla niej i coraz słabszym głosem prosił, żeby mu dała pokój, mówiąc, że „nie wie, czego imość chce” – żona wydobyła z niego tajemnicę, bo też trudno było ukryć cośkolwiek przed bystrym wzrokiem pani Marcinowej.

Wiadomość, wyczytana w liście, sprawiła na niej wrażenie uderzenia gromu i byłaby się niezawodnie rozchorowała natychmiast, jak tego mąż jej się obawiał, gdyby nie łączący się z utratą posady męża fakt przybycia delegowanego Rady Nadzorczej, którego należało przyjąć jak gościa, a gościnność leżała już we krwi pani Oreckiej. Nigdy w żadnych okolicznościach nie zapomniała o obowiązkach gospodyni – i dla spełnienia ich odpowiednio honorowi domu gotowa była ponieść wszelkie ofiary. Potrzeba przygotowania przyjęcia była dla niej w tej chwili prezerwatywą²¹ od choroby i opóźniła jej wybuch, jeżeli nawet nie osłabiła go.

– Musisz mi dać pieniędzy, Marcinie, bo ja już dziś ostatnie wydałam – rzekła po chwili – a nie ma w domu ani wina, ani likierów. Trzeba też będzie kupić ryb i z jednego zajęcia.

Pan Marcin zwrócił znowu na córkę oczy nacechowane wyrazem takiego cierpienia, że w dziewczęciu serce się ścisnęło. Wstał jednak posłuszny i wolnym krokiem poszedł do kantoru, gdzie stała ulubiona jego kasa ogniotrwała, niegdyś tak pełna pieniędzy, a dziś tak pusta... Wyjął kilkanaście banknotów i, chowając je do kieszeni, szepnął z boleścią:

– Ostatnia pensja!

Wracając z kantoru spotkał w sieni siedzącą na progu Mołkowską, patrzącą przed siebie wzrokiem osłupiałym. Przystanął na chwilę, popatrzył i na twarzy jego odbiło się pewne wahanie. Nareszcie sięgnął do kieszeni i oddzieliwszy z sumy, stanowiącej jego ostatnią pensję, trzyrublowy papierek, wetknął go w rękę starej, oglądając się, czy kto nie widzi.

– Kupcie sobie towaru za to i handlujcie jak dawniej – powiedział prędko i odszedł.

W kilka minut potem znowu skrzypnęły drzwi od sieni i pani, oglądając się, czy czasem nie widzi mąż, który teraz miał wszelkie prawo wymagać od niej oszczędności, wsunęła w rękę Mołkowej rubla. Ledwie się oddaliła, ktoś drobnymi krokami zbiegł szybko ze schodów i znowu w rękę staruszki wpadł pieniądz. Był to złoty, błyszczący dukat. Mołkowa ujrzała się nagle bogatszą, niż była przed pożarem.

Odwróciła głowę i długo patrzyła na drzwi, za którymi zniknęli wszyscy troje, z których ani jedno nie znało wartości pieniędzy, i łzy puściły jej się z oczu.

Takie były pierwsze oszczędności w tym domu.

²¹ prezerwatywa (tu daw.) – zabezpieczenie, ochrona. [przypis edytorski]

V

Pan Radlicz, delegowany Rady Nadzorczej, przyjechał wieczorem i przyjęty był nie tylko gościnnie, ale nawet wystawnie. Na stole nie brakowało ani ryb, ani zwierzyny, ani kosztownych przekąsek, ani starego, omszałego węgryna – co wszystko razem, przy cienkim holenderskim obrusie i zastawie, składającej się ze srebra, kryształów i porcelany sewerskiej, pochodzącej jeszcze z wyprawy pani, świadczyło pozornie o zamożności domu. Antoni w swej wytartej liberii prezentował się też nie najgorzej, dzięki starannie kredą wyczyszczonym guzikom i białemu krawatowi.

Pan Radlicz, przyjeżdżając w charakterze urzędnika, chciał się w nim utrzymać, ale to było niepodobne wobec szlachcica, przywykłego przez całe życie widzieć gościa w każdym, ktokolwiek przestąpił próg jego domu. Zresztą gość niczym urzędnika nie krępował, bo pani Orecka, mieszająca się niekiedy do rozmowy, odzywała się z prawdziwą pańską niedbałością o posadzie, jaką mąż jej miał utracić. Jedną tylko Helenka wiedziała, ile kosztowała matkę ta niedbałość i miła uprzejmość, jaką miała dla gościa. Ona sama tak była niespodzianie zaskoczona wypadkami dnia tego, że nie pomyślała nawet o żadnej roli dla siebie; była jak ten, komu niespodzianie grunt się spod nóg usuwa i nie wie, gdzie znaleźć dla siebie i swoich ukochanych oparcie. Zwykle wymowna wobec obcych, dziś w milczeniu słuchała rozmowy ojca z gościem o stosunkach ekonomicznych i handlowych miasta i okolicy – w której to rozmowie pan Radlicz był stroną wypytywaną, a ojciec objaśniającą, przy czym często płatał się w odpowiedziach, jakby myślał o czym innym.

Po wieczerzy naprężone siły gospodarstwa²² tak się wyczerpały, że rozmowa, przez samego już tylko gościa podtrzymywana, rwała się co chwila. Pani zdawała się pilnie liczyć nitki holenderskiego obrusa, pan Marcin, zapatrzony w talerz, bębnił palcami marsza na stole i nie słyszał, co do niego mówiono. Spostrzegł to gość i, przypisawszy ogólne roztargnienie przyzwyczajeniu obojga gospodarstwa do wczesnego spoczynku, spojrzął na zegarek i choć jeszcze godzina nie była późna, powiedział dobranoc i oddalił się do przeznaczonego dla siebie pokoju.

Pani Orecka nie spała wcale tej nocy, pomimo silnej dozy opium, jaką zażyła; pan Marcin przewracał się z boku na bok i także nie zmrużył oka – a Helenka długo siedziała w swoim pokoiku na górze bez ruchu i bez światła. Wypadki dnia upłynionego wprawiły ją w pewien rodzaj osłupienia, które jej dotąd jeszcze nie opuściły. Póki była z rodzicami, spełniała różne drobne czynności, pomagała matce w urządzeniu przyjęcia dla gościa, rozmawiała i obracała się machinalnie; ale teraz, gdy została sama i nie potrzebowała udawać spokoju, którego nie miała, rzuciła się na krzesło, zmęczona, i puściła wolny bieg myślom.

Po raz pierwszy dopiero życie dało jej uczuć swoją prozę, i to ze strony najdotkliwszej, z troski o chleb powszedni... A więc to nie sen, ale najprawdziwsza prawda, że majątek, w którego istnienie wierzyła, już nie istnieje!... I to także prawda, że ojciec wziął z kasy ostatnią pensję i że gdy ona się wyczerpie, nie będą mieli z czego żyć... O Boże, Boże! Miesiąc egzystencji jest zabezpieczony, a potem co? Pożyczać u ludzi? Tak, to najłatwiej – ale z czego potem oddać? Lepiej już pozbyć się zbytekownych przedmiotów, choć ciężko będzie następnie żyć bez nich; jest powóz, są konie, srebra, porcelana, zwierciadła... Ale jak tu sobie wyobrazić matkę chodzącą piechotą i obywającą się bez tych wszystkich rzeczy, którym codzienne nawyknięcie odebrało charakter zbytku, a przeobraziło je w potrzeby codzienne! Ciężko będzie odwyknąć od nich, ale już lepsza ta ostateczność niż śmierć z głodu. Wszystkiego tego jednak zaledwie na rok utrzymania wystarczy, a po roku?... Jest jeszcze dom, ale ojciec powiada, że domy w małych miasteczkach małą mają wartość i nie znajdują chętnych nabywców. Przypuśćmy wreszcie, że się znajdzie nabywca: to fundusz ze sprzedaży domu wyczerpie się w parę lat tak samo, jak ostatnia pensja i fundusz ze sprzedaży zbytekownych przedmiotów. A

²² gospodarstwo – tu: gospodarz i gospodyni. [przypis edytorski]

potem... potem co się stanie, gdy już nie będzie co sprzedawać? Co z sobą zrobią, gdzie pójdą: znękany wiekiem i nieszczęściami starzec i chora, potrzebująca drobiazgowej troskliwości kobieta?

Na zegarze miejskim wybiła dwunasta i w tejże chwili z dwóch stron przeciwnych dało się słyszeć grzechotanie stróżów nocnych, obchodzących ulice co godzina. Odgłos ten wyrwał Helenkę z zamyślenia. Przetarła ręką czoło i teraz dopiero zobaczyła, że noc była piękna, a księżyc oświetlał środek pokoju. Smuga światła posuwała się powoli, ale ciągle coraz dalej i dalej – a Helence, patrzącej na to, przyszło na myśl że nędza i głód takim samym wolnym, ale nieustającym krokiem do domu ich przybliżyć się będą. Zimne dreszcze wstrząsnęły jej delikatnym, rozpieszczonym ciałem, a w głowie uczuła pewien ból. Umysł, nie przyzwyczajony do praktycznego myślenia ani jakiegokolwiek bądź obrachowywania, pierwszy raz odbywający tę pracę z musu, znużony był nad wszelki wyraz.

Wstała i zbliżyła się do okna. Widać z niego było cały ogród, folwark Ofmana, rzekę i statki, zimujące wzdłuż brzegu, z poopuszczanymi masztami, a za tym wszystkim kawał pola, wioskę i las rozpostarty na wzgórzu. Woda była ścięta lodem, a promienie księżyca ślizgały się po nim i drżały; biedne dziewczę, patrzące dziś na wszystko przez posępne tło swego usposobienia, pomyślało sobie znowu, że one tak samo drżą jak jej serce wobec widma niedostatku, z którym nie wiedziała, jak walczyć.

Całe miasto spało – tylko w kajucie statku, stojącego najbliżej, błyszczało jeszcze światełko, a po cieniu zasłaniającym okienko w regularnych, szybko po sobie idących odstępach, można się było domyślić, że tam ktoś jeszcze szyje pracowicie. Dawniej, wpatrując się tak w blaski księżyca, Helenka dumiała o nieszczęściach Marii Stuart, o Balladynie albo o dzielnym Rob Royu – a dzisiaj, śledząc ruch cienia w okienku, zastanawiała się nad tym, jak się to dzieje, że ludzie czuwający do późna w nocy przy pracy, żyjący w ciasnych mieszkaniach i obywający się bez wielu potrzeb, uważanych przez nią i jej rodziców za niezbędne, mają jednak dobry humor i są zadowoleni ze swego losu! Co im daje ten humor i to zadowolenie? Skąd się bierze siła czyniąca z ludźmi takie cuda? Gdzie jej szukać i jak się ona nazywa?

Głos jakiś wewnętrzny powiedział jej, że to praca, która dając trud we dnie, słodkim czyni spoczynek w nocy; że ona to hartuje serca, drżące przed niedostatkiem, a przygnębionym umysłem przywraca jasność i pogodę... Przypominała sobie, jak kilka tygodni temu, gdy przez ciekawość poszła obejrzeć jeden statek, żona właściciela, oprowadzająca ją po nim, pokazywała jej z dumą kolorową bawełnianą serwetę kupioną w Gdańsku, dodając, że jest owocem oszczędności z całego kwartału – a duża, puciołowata jej twarz promieniała przy tym radością. Wówczas wydało się to zabawne, niemal śmieszne Helence, ale dziś, przypomniawszy to sobie, westchnęła tylko. Zrozumiała, że rozpromienienia tego źródłem była praca dająca zarobek i oszczędność pozwalająca gromadzić. Z czego powstała fortuna Ofmana, jeżeli nie z pracy i oszczędności? A upadku fortuny jej ojca co było powodem? Ach, nie tylko chęć pomagania drugim, ale i nieogłędność w wydatkach, ale życie nad stan – czuła to dobrze w tej chwili.

Gdy grzechotka stróża nocnego odezwała się powtórnie, światło w kajucie zgasło, a Helenka – zapytywała siebie, czy w tej sile właśnie, która daje majątki ludziom ubogim a wytrwałym, ona nie mogłaby znaleźć środka ratunku dla rodziców? Nie należą przecież jeszcze do najbiedniejszych; niejeden na ich miejscu uważałby się za bogacza! Więc zamiast rozpacznać, należy raczej podziękować Bogu, że im zostawił dach nad głową, i wynaleźć pracę mogącą wystarczyć na chleb powszedni. Tak, ale kto będzie pracował? Czy ojciec, znękany wiekiem i złamany nieszczęściem, czy matka chora, potrzebu jąca wygód i do żadnej pracy niezdolna? Jedna jest tylko w domu istota, która może i powinna pracować...

Serce dziewczęcia mocniej uderzyło; w umyśle jej mętnym i odrętwiałym zaczęły świecić niewyraźne blaski, a w duszy budzić się siły, które tam leżały głęboko uspione. Dziwiła się tylko, że na myśl tak dobrą nie wpadła od razu, ale doszła do niej dopiero po długim rozumowaniu, i wstyd jej było siebie samej.

„Czyż ja jestem taką egoistką?” – myślała z żalem.

Gdzie szukać pracy, za której pomocą chciała zabezpieczyć byt rodzicom, nad tym nie namyślała się długo. Powzięła ona pewien zamiar, zdający się jej łatwym do wykonania. Była jeszcze zbyt młoda i niedoświadczona, aby zastanawiać się nad mogącymi stanąć jej na drodze przeszkodami i trudnościami.

Teraz dopiero, gdy mniemała, że znalazła środki ratunku, uczuła potrzebę spoczynku. Zapaliła świecę i gdy łagodne światło rozświetliło pokój, można było widzieć dokładnie jego wytworne urządzenie. Znać tu było, że rodzice chcieli zadowolić wszystkie nie tylko upodobania, ale nawet kaprysy jedynaczki. Ściany, wyklejone papierem bladioróżowym w srebrne arabeski, zastosowane były barwą do tkaniny pokrywającej meble z dębu czarnego, naśladowującego heban, i do firanek, przysłaniających weneckie okno. Surową powagą tego okna łagodziły białe, muślinowe falbanki, wyglądające spod różowych draperii. Łóżeczko osłaniała muślinowa kotara, podpięta różowymi kokardami, a obok łóżka z jednej strony stał stolik z lustrem w posrebrzanych ramach, a z drugiej umywalnik, wyłożony marmurem i zastawiony porcelaną, dobieraną widocznie do tonu barw panujących w pokoju. Pod oknem stało śliczne dębowe biurczko, a pod ścianą miękka kozetka ze stolikiem do roboty i dwoma fotelikami. Była tam jeszcze i szafka oszklona, pełna książek ładnie oprawnych, i różne drobne, kosztowne, a niepożyteczne graciki, i wzorzysty kobierzec, wyścielający część posadzki, i ozdobna lampa, zwieszająca się od sufitu w kształcie kielicha kwiatu: z bogatych ram złożonych wychylało się słodkie oblicze Matki Boskiej, wyborna kopia z obrazu Carlo Dolce.

Helenka, trzymając świecę w ręku, przypatrywała się swemu pokoikowi z taką uwagą, jakby go widziała dopiero po raz pierwszy. Nigdy jeszcze nie wydawał jej się tak piękny, miły i wygodny jak teraz, gdy wiedziała, że wkrótce będzie go musiała opuścić... Tyle lat swobodnych i szczęśliwych przepędziła tutaj, a z każdym niemal sprzętem wiązało się jakieś wspomnienie. Przed tym obrazem, będącym pamiątką rodzinną, modliła się zawsze; to biurko dostała na imieniny od ojca; tę szafkę matka jej ofiarowała niedawno; ten kobierzec przyniosła jej gwiazdka. Wszystkie otaczające ją sprzęty – byli to dobrzy jej znajomi i przyjaciele, przed którymi nie miała tajemnic: każdy miałby coś ciekawego do powiedzenia o swej pani, gdyby tylko umiał mówić – a najwięcej może biurko: na którym rysowała szkice do owego wymarzonego kostiumu leśnej bogini.

Przypomnienie balu wstrząsnęło Helenką jak iskra elektryczna i obudziło w duszy głuchy bunt przeciw powziętym przed chwilą dobrym zamiarom. Ach, ten bal! Ona o nim tyle marzyła, tyle z nim wiązała nadziei, a teraz ma go się wyrzec? Nieraz słyszała we śnie dźwięki muzyki, gwar rozmów, widziała jarzący blask świateł i siebie wspartą na ramieniu Stefana, unoszoną wirem tańca wobec powszechnego szmeru podziwu i uwielbienia. A gdyby też pogodzić z sobą dwie rzeczy: być na balu i po nim dopiero o pracy pomyśleć? Suknia już i tak obstalowana, więc w każdym razie zapłacić za nią trzeba... Co zresztą powiedziałby Stefan, któremu dała słowo, że będzie; Stefan, który ją do pierwszego tańca zamówił?

Długą chwilę trwała w duszy dziewczęcia walka egoizmu młodości z dobrymi zamiarami i te ostatnie zwyciężyły. Helenka nie była złą ani zbyt lekkomyślną; miała dobre serce i szczerze pragnęła ratować rodziców. Wrodzona jej szlachetność odepchnęła pokusę z oburzeniem.

– Nie godzi się nawet myśleć o tym – rzekła do siebie – Stefan, jeżeli zechce, potrafi mnie wszędzie znaleźć.

I, usiadłszy przy biurku, napisała do modniarki list cofający obstalunek – ale gdy go włożyła w kopertę i zapieczętowała, popłynęły jej z oczu łzy żalu za przyjemnością, którą dobrowolnie poświęciła, i za marzeniami, których się wyrzekła. Poemat jej życia przerwał się na samym początku.

Łzy te oczyściły ją z grzechu egoizmu i w końcu zmieniły się w słodkie łzy rozrzewnienia na myśl, że czyni to dla rodziców, którymi od tej chwili będzie się opiekowała. Była to pierwsza ofiara i pierwsze nad sobą zwycięstwo.

Gdy stróż nocny z grzechotką przechodził koło domu pana Marcina, na zegarze miejskim wybiła godzina druga, ale Helenka już tego nie słyszała. Spała snem twardym. Z całej rodziny ona jedna tylko spała tej nocy.

VI

Pan Radlicz był już człowiekiem niemłodym, lecz starym nie można go było jeszcze nazwać, pomimo pięćdziesięciu przeszło lat. Wprawdzie włosy i faworyty miał siwe, twarz porysowaną zmarszczkami, ale oczy pełne były życia, a w ruchach, w głosie przebijała się sprężystość i energia. Rysy były dość pospolite, ale miały wybitnie indywidualny charakter, którego wyrazem była siła i stanowczość; czoło przecinały ostre linie, a w zagięciu ust było coś nieubłaganego. Na pierwszy rzut oka nie był to człowiek sympatyczny, bo nie wzbudający innego uczucia oprócz obawy i poszanowania; ale gdy spod brwi gęstych i krzaczkastych popatrzył na kogo przez szkła okularów wzrokiem pełnym rozumu i dobroci, wzbudzał natychmiast nieograniczoną do siebie ufność i wiarę. Tak go też osądziła Helenka podczas wczorajszego wieczora.

Państwo Oreccy wstawali zwykle późno, a ruch prawdziwy w ich domu rozpoczynał się dopiero o dziewiątej. Delegowany Rady Nadzorczej jednakże inny miał widać obyczaj, bo o ósmej już był w kantorze zajęty przeglądaniem ksiąg i obliczaniem długich szeregów cyfr. W całym domu panowała jeszcze cisza, służba tylko co powstawała i zaczynała się krzątać leniwie po pokojach, chodząc na palcach i poziewając głośno.

Czoło pana Radlicza fałdowało się często przy tej czynności: z każdej niemal karty wyglądał brak praktycznej podstawy w obrotach pieniężnych pana Marcina i jego dyletantyzm – a znajdowały się pozycje, wprowadzające go w głębokie zdumienie. Zatopiony w pracy, nie słyszał drobnych kroków zbliżających się do drzwi kantoru i nieśmiałego pukania – dopiero gdy po chwili powtórzyło się nieco głośniejsze, usłyszał je.

– Proszę wejść – odezwał się, nie podnosząc głowy od papierów, nad którymi był pochylony.

Drzwi otworzyły się i zamknęły na powrót z delikatną ostrożnością i drobne kroki zbliżyły się do stołu, przy którym pracował delegowany. Pan Radlicz, mniemający zrazu, że to służąca, podniósł nagle głowę i zdziwił się, gdy ujrzał przed sobą córkę gospodarza domu. Powitawszy ją uprzejmie, wyraził przypuszczenie, że prawdopodobnie spodziewała się zastać tu ojca zamiast niego.

– Nie, panie – odrzekła – ojciec mój nie wstaje tak rano, więc wiedziałam, że go nie zastanę w kantorze. Chciałam pomówić z panem bez świadków i dlatego tu przyszedłam; jest to jedyna pora, w której nam nikt nie przeszkodzi.

Wypowiedziawszy te słowa odetchnęła głęboko; pierwszy ten krok na drodze samodzielności dużo ją kosztował. Zanim tu przyszła, musiała stoczyć niejedną walkę z wahaniem się na nowo ją ogarniającym, z fałszywym wstydem i tysiącnymi uczuciami, jakie ją po przebudzeniu się opanowały. Teraz, gdy wyrzekła pierwsze wyrazy, wszystko już było skończone; nie mogła się cofnąć. Zdziwienie pana Radlicza wzrosło jeszcze bardziej, ale nie dał tego poznać po sobie. Podał jej krzesło i rzekł, siadając także:

– Słucham panią.

– Pewnie się to panu wydaje dziwne, a nawet niewłaściwe, że człowiekowi obcemu, widzianemu po raz pierwszy w życiu, przychodzę czynić zwierzenie... ale bardzo ważne powody skłaniają mnie do tego. Proszę pana o trochę tylko cierpliwości. Niech mnie pan wysłucha, a potem mnie pan osądzi.

Przerwała na chwilę, jakby dla nabrania odwagi, zaczerpnęła powietrza i mówiła dalej:

– Ojciec mój wskutek różnych nieprzyjaznych okoliczności stracił majątek, a dymisja z posady ajenta odbiera mu jedyny środek utrzymania.

Pan Radlicz poruszył się na krześle.

– Przykro mi niezmiernie – powiedział – że na mnie spadł obowiązek wykonawcy tej smutnej dla państwa zmiany, ale nie przybyłem tu z własnej wyłącznie woli i nie powinniście państwo mieć o to do mnie urazy.

– O, bynajmniej – odpowiedziała z pośpiechem – rozumiemy wszyscy, że pan jest tylko reprezentantem instytucji.

– To, co słyszę od pani – mówił zapalając cygaro – dziwi mnie niewymownie – sposób bowiem życia państwa i stopa, na jakiej dom trzymacie, prowadzi do innych wniosków, a pani Orecka wczoraj nawet powtórzyła dwukrotnie, że rada jest, iż mąż jej pozbędzie się kłopotu z agenturą.

Helenka zarumieniła się lekko.

– Mama jest dumną – wyszeptwała – i ma wstręt do budzenia w ludziach litości.

Pan Radlicz pomyślał, że duma mogłaby się była inaczej objawić, niekoniecznie w ten sposób, ale zachował tę uwagę przy sobie, powiedział tylko:

– Zdaje mi się, że zgadłem powód obecności pani tutaj, i z góry żałuję, że muszę rozwiać pani złudzenie. Dymisji ojca pani nie wywołały względy prywatnej natury, więc cofniętą być nie może. Dalsze utrzymywanie agentury w M. naraziłoby Dom Handlowy na straty.

– Pojmuję to – odpowiedziała – i omylił się pan przypuszczając, że przyszedłam tu żądać rzeczy niemożliwych. Zamiary moje są inne: wiem, że co się stało, odstać się już nie może; ale położenie moich rodziców, nie znających dotąd, co to jest troszczyć się o jutro, jest więcej niż smutne. Otóż... pragnę los ich, o ile to jest możliwe, złagodzić. Jednym słowem, chciałabym pracować. Tyle kobiet w moim wieku zarabia na swoje utrzymanie, a nawet pomaga rodzinie...

Pan Radlicz, słuchający dotąd z grzeczną obojętnością, spojrział z większym nieco zajęciem na mówiącą.

– Myśl bardzo dobra – zauważył, nie zgadując jednakże, dlaczego mu ona to wszystko mówi.

– Nie mam nikogo, co by mi w tym przedsięwzięciu umiał lub chciał poradzić. Moi rodzice nic jeszcze o tym nie wiedzą i będę miała niemałe z nimi trudności, zanim oswoją się z tą myślą... a wszyscy moi znajomi i przyjaciele mają dawne pojęcie o kobiecie i jedynie działalność w obrębie domowego ogniska uważają dla niej za właściwą, zwłaszcza jeżeli należy do mojej sfery.

Lekki uśmiech przebiegł po ustach pana Radlicza.

– Chciałabym się dostać do Warszawy, gdzie, jak czytam i słyszę, istnieją rozliczne sposoby zarobkowania dla kobiet, ale nie wiem, jak się do tego wziąć. Niech mi pan nie bierze za złe mej śmiałości, ale pański wiek, pańska twarz, choć surowa, budzi we mnie zaufanie i nadzieję, że pan nie odmówi mi swojej rady. Mam dopiero lat siedemnaście²³, nie znam świata...

Podniosła nań oczy pełne gorącej, acz nieśmiałej prośby, oczy podobne do gwiazd, w których znać było, że nigdy nie patrzyły na ziemię z bliska.

Pan Radlicz w milczeniu spoglądał przez chwilę na delikatną twarzyczkę dziewczęcia, po której przemykały odbłaski różnorodnych myśli i wrażeń; na wytworny układ włosów przepiętych złotą przepaską, na ubiór ściśle zastosowany do ostatnich wymagań mody, na ręce uderzające niezwykłą małością i ozdobione pierścionkami; na całą postać, tchnąca wdziękiem słabości, przyzwyczajonej, jak się zdawało, widzieć spełnionymi natychmiast wszystkie zachcenia – patrzył i rozważał, nareszcie rzucił jej krótkie pytanie:

– Cóż pani umiesz?

Pytania tego, streszczającego kwestię w dwóch słowach, najmniej się spodziewała Helenka. Na twarzy jej odmalowało się zakłopotanie.

– Uczono mnie wszystkiego po trosze – rzekła po chwili – umiem mówić dosyć biegle po francusku, po niemiecku, po angielsku, grać, śpiewać, rysować z natury.

– Szkoda. Wolałbym, abyś pani umiała mniej, a dobrze. Czy przecież posiadasz pani choć jeden przedmiot gruntownie, to jest tak, że mogłabyś się podjąć go wykładać?

– Niestety, nie, ale od czegoż są książki?

– Metoda zadawania dzieciom lekcji z książek minęła już niepowrotnie – odparł pan Radlicz poważnie – pedagogika dzisiaj posługuje się innymi środkami. Nauczający przede wszystkim musi sam umieć dobrze to, czego chce uczyć.

Helenka posmutniała.

²³ siedemnaście – dziś: siedemnaście. [przypis edytorski]

– Zdaje mi się, że znam niezłe muzykę – rzekła z mniejszą niż wprzód pewnością.

– Nauczycieli muzyki mamy w Warszawie więcej, niż potrzeba, z uczennicami konserwatorium nie wytrzyma pani konkurencji. Ludzie oddadzą zawsze pierwszeństwo tym, którzy swojej umiejętności będą mogli dowieść patentem.

– To może mogłabym dostać miejsce nauczycielki prywatnej? Tyle jest nauczycielek umiejących mniej ode mnie...

Pan Radlicz popatrzył na nią z politowaniem.

– Warszawa mało potrzebuje nauczycielek prywatnych – powiedział. – Przy wzrastającej drożźnie mieszkań i artykułów spożywczych utrzymanie nauczycielki jest kosztownym zbytkiem. Zresztą najlepsza nawet nauczycielka nie może posiadać wszystkich przedmiotów ani zastąpić szkoły. Rodzice więc posyłają dzieci do którego z zakładów, gdzie nauka jest tańszą i lepszą. Ludzie bogaci wprawdzie pozwalają sobie zbytku utrzymywania kilku nauczycielek razem i dobrze im płacą, ale na to trzeba choć jeden przedmiot znać doskonale. Dlaczego pani jednakże szuka miejsca koniecznie w Warszawie? Czyż nie łatwiej bez porównania byłoby pani znaleźć je tutaj, jeżeli nie w samym mieście, to w okolicy, gdzie pani musisz mieć stosunki, znajomości?

– O, nie! – przerwała z mocnym rumieńcem – za nic w świecie nie zgodziłabym się przyjąć obowiązku płatnego w domu, w którym mnie dotąd przyjmowano jako gościa i odpowiednimi względami otaczano. Różnica stanowiska wobec tych samych osób byłaby dla mnie nazbyt przykrą. Ciągła obawa, aby mi tego uczuć nie dano, zrobiłaby mnie drażliwą na każde słowo, każde spojrzenie i upatrywałabym chęć upokorzenia mnie tam nawet, gdzie by jej nie było. Nie, nie! Pragnę opuścić te strony i między obcymi ludźmi nowe rozpocząć życie.

– Zdaniem moim jest to wstyd fałszywy – zauważył spokojnie – nikt nie powinien się wstydić brać pieniędzy zarobionych uczciwie.

Helenka nic nie odpowiedziała.

– Dobrze władam obcymi językami, zwłaszcza francuskim – odezwała się po chwili – czy więc nie mogłabym dawać lekcji konwersacji?

– Każdy woli rodowitą Francuzkę, łaskawa pani, na zasadzie, że nauka obcego języka pewniejsza jest z pierwszej ręki niż z drugiej. Polki za konwersację otrzymują bardzo nędzne wynagrodzenie, a i ono jeszcze niełatwe jest do zdobycia. Należy wprzód dać się poznać, wyrobić sobie stosunki, a na to potrzeba czasu.

Ciężkie westchnienie wydobyło się z piersi Helenki.

– Najkorzystniej byłoby nauczyć się jakiego rzemiosła, dostępnego dla kobiet, ale pani i do tego wydajesz mi się niezdolna; a szkoda, bo na tej drodze najprędzej można sobie zapewnić byt niezależny. Jestem ojcem trzech córek, każda z nich, oprócz wyższego naukowego wykształcenia, posiada jeszcze specjalne wykształcenie fachowe, dające zarobek; każda nie tylko utrzymuje się z własnej pracy, ale ma jeszcze po kilkaset rubli zaoszczędzonych.

Uczucie zazdrości obudziło się w sercu Helenki. Gdyby ona miała kilkaset rubli, rodzice na kilka miesięcy mieliby zapewniony spokój!

– Ta droga jest dla mnie niemożliwą – rzekła – dla nauczania się rzemiosła trzeba czasu, a ja potrzebuję zaraz zarabiać. Mój ojciec wczoraj wziął ostatnią pensję!...

„I mimo to daliście wystawną kolację – pomyślał pan Radlicz nie bez oburzenia. – Na Boga, ci ludzie nie mają najmniejszego pojęcia o rachunku!”

– Słyszałam – mówiła dalej niepewnym głosem Helenka – że Polki, posiadające obce języki, bywają użyteczne na pensjach.

– Ma pani słuszność: sędzę, że pani mogłaby robić tłumaczenia z uczennicami klas niższych i objaśniać im znaczenie wyrazów. Znam przełożoną, która wspominała mi właśnie, że takiej osoby potrzebuje.

– Ach, panie! – zawołała z błyskiem nadziei w oczach – niech mi pan pomoże uzyskać to miejsce²⁴.

– Chętnie, ale czy pani jesteś mocna w języku rosyjskim?

Helenka spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Nie znam go wcale, ale cóż to ma do rzeczy?

Z kolei pan Radlicz spojrział ze zdziwieniem na Helenkę.

– Więc pani nic o tym nie wiesz, że wykłady na pensjach muszą się odbywać po rosyjsku? – zapytał. – Że polski język może się używać²⁵ tylko jako pomocniczy?²⁶

Helenka zbladła.

– Jak to! – spytała głosem drżącym, w którym czuć było niedowierzanie – więc obcy język wykłada się w innym, obcym także dla dzieci języku?

– Polski to język uważa się za obcy, łaskawa pani – odpowiedział z goryczą – i jako taki wykłada się po rosyjsku.

Żrenice dziewczęcia rozszerzyły się dziwnie; na twarzy odmalował się przestach.

– Jakże sobie radzą z tym cudzoziemki? – pytała dalej.

– Uczą się po rosyjsku.

– A dzieci?

– Z początku nic nie rozumieją... z czasem przyzwyczajają się.

Zapanowało milczenie. Pan Radlicz rzucił nie dopalone cygareto, podniósł się i zaczął chodzić po pokoju z założonymi w tył rękami.

– Nie powinniśmy jednakże dlatego rąk opuszczać – rzekł, zatrzymując się przed nią – przeciwnie, w tych właśnie warunkach, jakie są, pomimo wszelkich trudności, należy starać się spełnić obowiązek. Naucz się pani po rosyjsku tak, żebyś mogła zdać z tego języka egzamin, a postaram się wyrobić ci miejsce na pensji.

– Ależ ja nie mogę czekać! – zawołała prawie z rozpaczą – nie mogę! Mówiłam już panu, że nie mam czasu do stracenia.

– Nic więc pani nie mogę poradzić.

Nastąpiło znowu milczenie. Helenka patrzyła przed siebie szklanym wzrokiem.

– Może bym chociaż mogła uczyć kaligrafii i przy tym być użyteczną przełożonej pensji w jaki inny sposób? – wyszeptwała głosem wychodzącym ze ściśniętego gardła, głosem, w którym czuć było, że ostatnia struna była wyprężona, jakby lada chwila miała pęknąć.

Pan Radlicz roześmiał się przykrym, ostrym śmiechem.

– O święta naiwności! Czy pani uczyć będziesz kaligrafii, czy robót, zawsze musisz mieć patent z języka rosyjskiego. Jakże państwo czytacie gazety, że wszystkie te rzeczy są dla was nowe!

Struna, zbytecznie wyprężona, pękła. Helenka wybuchnęła płaczem; siły jej moralne wyczerpały się w tej rozmowie do ostatka. Wczoraj myślała, że dość jej będzie objaśnić chęć do pracy, żeby ta praca sama weszła w jej ręce i przyniosła obfite korzyści, a tu napotykała trudności niezwalczone. W powieściach angielskich, które czytywała ze szczególnym upodobaniem, bywały piękne ustępy o pracy – a bohaterki, biorące się do niej, po mniej więcej niewielkich trudnościach zarabiały dużo pieniędzy i wychodziły za mąż. Myślała, że i z nią tak będzie; tymczasem przekonywała się, że życie w powieści, a życie rzeczywiste to dwie rzeczy bardzo różne. Za każdym słowem delegowanego odwaga jej słabła – i tylko przez ambicję nie dała tego poznać po sobie. Walczyła z sobą mężnie do ostatniej chwili, ale teraz siły opuściły ją zupełnie. Kaligrafii czepiła się

²⁴ *miejsce* (tu daw.) – posada, zatrudnienie. [przypis edytorski]

²⁵ *polski język może się używać* – dziś: język polski może być używany. [przypis edytorski]

²⁶ *wykłady na pensjach muszą się odbywać po rosyjsku (...)* *polski język może się używać tylko jako pomocniczy* – w zaborze rosyjskim w ramach represji po powstaniu styczniowym nasilono rusyfikację i zajęcia w szkołach nakazano prowadzić po rosyjsku, tak jak całą administrację. [przypis edytorski]

jak tonący deski ocalenia, i to ją zawiodło. Tak była dumną ze swego wykształcenia, a dowodzenia pana Radlicza obróciły tę dumę wniwecz. Była upokorzona i złamana.

– Odebrał mi pan ostatnią nadzieję! – wyszeptała łkając.

Boleść ta wzruszyła głęboko pana Radlicza. Chodził zamyślony po pokoju i zatrzymał się znowu.

– Biedne dziecko! – przemówił ze współczuciem – wychowano cię na kobietę bardzo przyjemną w salonie, ale niepożyteczną w życiu codziennym. Wykształcenie powierzchowne zrobiło cię bezbroną wobec walki o chleb powszedni. Ale uspokój się, pani, może jeszcze potrafimy coś wynaleźć.

Helenka pochwyciła obie jego ręce.

– Ach, panie! – zawołała, podnosząc ku niemu oczy łzami zalane – jeżeli tylko pan może, pomóż mi pan, na miłosierdzie Boskie!

– Przestań pani płakać – powtórzył – i wysłuchaj mnie spokojnie. Wspominałaś mi pani o kaligrafii; wnoszę stąd, że piszesz niezłe. Siadaj pani na moim miejscu i pisz, co ci podyktuję.

Helenka obtarła łzy batystową chusteczką i spełniła, czego od niej żądano. Pan Radlicz wziął w rękę jej pismo i przez chwilę uważnie mu się przypatrywał: litery były wyraźne, charakter piękny i wprawny.

– Egzamin wypadł niezłe – rzekł z uśmiechem – połóż pani teraz pióro i posłuchaj mnie uważnie. Jestem właścicielem składu nasion w Warszawie i mógłbym pani dać u siebie zajęcie w ekspedycji. Obowiązkiem pani byłoby przepisywać rachunki i przygotowywać obstalunki. Ofiarowałbym pani za to piętnaście rubli pensji miesięcznie na początek, wraz z całkowitym utrzymaniem. Czy chcesz się pani tego podjąć?

– Czy chcę! – zawołała z wybuchem radości. – Alboż mnie trzeba o to pytać?

– Ostrzegam panią, że jestem surowy i wymagający i nie znoszę nieakuratności ani najmniejszego lekceważenia przyjętych na siebie obowiązków. W razie gdybyś je pani zaniedbywała, będę zmuszony objawić pani moje niezadowolenie. Nie będę wówczas zważał, kto pani jesteś, ani ubierać słów moich w wytworne formy salonowej grzeczności, ale postąpię tak, jak bym postąpił z każdym z moich podwładnych. Namyśl się pani dobrze...

Helenka milczała przez chwilę.

„Miałabym w beczynności wyczekiwać, aż zjawi się konkurent i za cenę mej ręki wyratuje nas wszystkich z biedy? – myślała. – Nie, to i za ryzykowne, i nazbyt upokarzające. Wolę pracować”.

– To, co pan mówi, nie zniechęca mnie – rzekła z mocą – postanowienie moje jest niecofnione; wyboru nie mam...

– Brawo! – zawołał pan Radlicz – wychowano panią niepraktycznie, ale nie zdołano zepsuć dobrego materiału, jaki w duszy pani złożyła natura. Podaj mi pani rękę: jest ona wprawdzie za mała i zanadto wypieszczona, ale zasługuje na to, żeby ją uścisnąć z szacunkiem. Czy tylko pani wytrwasz? Brak wytrwałości jest naszą narodową wadą.

To powiedziawszy spojrzął na zegarek.

– Przepraszam panią, że muszę zakończyć naszą rozmowę, ale już dziewiąta, a ja mam jeszcze niemało papierów do przejrzania, bo dziś wyjeżdżam. Ale będę tu znowu za dwa tygodnie dla ostatecznego ukończenia sprawy, to mógłbym panią zabrać. Pomów pani tymczasem z rodzicami. Żegnaj panią.

Podał jej rękę i zagłębił się znowu w rachunkach.

U ludzi

VII

Nie mała miała trudności Helenka, zanim przygotowała rodziców do swoich zamiarów. Z początku ani słuchać nie chcieli o zmianie, mającej nastąpić w ich domu. Ojciec płakał i wyrzucał sobie, że to z jego winy córka chce iść wycierać obce kąty; matka dostała ataku nerwowego i wyrzucała córce, że powzięła myśl szaloną, bo po co ma tam gdzieś szukać pracy, nieodpowiedniej dla panny tak starannie jak ona wychowanej, kiedy może iść tutaj za męża bogato. Dość będzie sprawić kilka nowych sukien, pokazać się na kilku wieczorach, aby cel zamierzony osiągnąć. Mówiła, że się dziewczynie przewróciło w głowie, że „co powie na to świat”, że wreszcie „nie ma prawdziwego przywiązania do rodziców, kiedy jej tak łatwo przychodzi opuścić ich teraz właśnie, gdy spadło na nich nieszczęście”.

Helenka w milczeniu znosiła te wszystkie zarzuty, nie próbując się nawet usprawiedliwić, ale stała przy swoim. Ulegała matce dotąd zawsze we wszystkim, toteż pani Orecka zdziwiona była i rozgniewana tą nagłą stanowczością, o jaką córki dotąd nie podejrzewała. Okoliczności też wkrótce bardzo Helence do skutecznego zamiaru dopomogły. Ostatnia pensja wyczerpała się w połowie miesiąca i trzeba było żyć na kredyt. Postanowiono wprawdzie sprzedać konie, ale nie śpieszono się z tym, bo zbyt ni pośpiech w sprzedaży rozniósłby zaraz po mieście i okolicy wieść o ruinie majątkowej pana Marcina – a tego właśnie pani Marcinowa nie życzyła sobie.

Gdy delegowany Rady Nadzorczej powtórnie przyjechał, nikt się już nie sprzeciwiał wyjazdowi Helenki. Ojciec tylko stał się jeszcze więcej milczący, wzdychał ciężiej i po całych dniach wybijał swojego marsza, nie mogąc się zdobyć na żadne inne zajęcie; matka po cichu płakała i zażywała krople uspokajające, ale rzeczy były już zapakowane. Dziwiła się bardzo pani Orecka, że żaden z kawalerów, którzy się o jej córkę dobijali na balu, nie przyjechał dotąd złożyć wizyty, ale pocieszała się nadzieją, że Helenka może w Warszawie lepiej jeszcze pójdzie za męża. Żeby zaś świat nie robił żadnych niepotrzebnych domysłów, zapowiedziało się znajomym, że jedynaczka jedzie do stolicy na karnawał.

Z ciężkim sercem opuszczało dziewczę dom rodzicielski, a gdy przysła chwila pożegnania i zrozpaczeni rodzice, poleciwszy córkę kilkakrotnie opiece pana Radlicza i otrzymawszy od niego przyrzeczenie, że będzie nad nią czuwał jak nad własną córką, wzajemnie ją sobie z objęć wyrwali; gdy słudzy rzucili się do nóg i rąk panienki, a pies, nieodstępny jej dotąd towarzysz i przyjaciel, jakby coś przeczuwając, zaczął dokoła niej biegać i skomleć; gdy nareszcie ulubiona jej klaczka, na której codziennie jeździła, wybiegła ze stajni, dopominając się chleba, otrzymanego zawsze z rąk Helenki o tej porze – zesłabło serce w biednej dziewczynie. Zawahała się na chwilę i wielkim tylko wysiłkiem woli zdołała się przezwyciężyć. Wyrwała się prawie przemocą swoim kochanym i wskoczyła szybko do powozu.

Ofman, oparty łokciami na parkanie, przypatrywał się całej scenie i dziwił go trochę ten smutny wyjazd na wesołą zabawę, a ponieważ był człowiekiem przewidującym i wiedział już, że państwo Oreccy zaczęli brać to i owo na kredyt, ponieważ w przybliżeniu wiedział także, ile to stroje damskie pochłaniają pieniędzy, więc przez błękitne dymy swojej fajeczki, niby przez mgłę przeźroczystą, widział się już w niedalekiej przyszłości posiadaczem posesji pana Marcina.

Gdy konie ruszyły z miejsca, z oczu Helenki, wstrzymującej się dotąd mężnie od płaczu, trysnęły łzy obfite. Teraz, gdy już zostawiła za sobą wszystko, co jej było drogie, i przecięła sobie drogę do odwrotu, odstąpiła ją cała odwaga. Ogarnął ją żal bezmierny za tym, co zostawiła, i obawa tego, co ją czekało. Pan Radlicz nie przeszkadzał jej płakać ani usiłował nawiązać z nią rozmowy. Znał dobrze życie i wiedział, że łzy przynoszą ulgę, a kilka godzin milczącego wpatrywania się w

głąb własnej duszy może wyjść tylko na zdrowie osobie, która na świat patrzyła powierzchownie, a w sobie prawdopodobnie nigdy jeszcze uważnie nie spojrzała.

Większą część drogi przebyli w zupełnym milczeniu, potem jednakże Helenka ożywiła się bardzo i nie tylko nie unikała rozmowy, ale ją nawet podtrzymywała; dopiero gdy pociąg zbliżał się do Warszawy i z daleka ukazały się tysiące świateł migocących wśród nocy, sposepniała bardzo na myśl, że wkrótce znajdzie się w obcym domu. Pan Radlicz, zgadując jej myśli, powiedział:

– Bądź pani spokojna, znajdziesz osoby chętne i życzliwe. My wszyscy pracujemy, więc umiemy zrozumieć i uszanować każdego, kto pracuje. Żona moja jest zacna i rozumna, dziewczęta poczciwe i wesołe, syn – chłopiec dzielny i pracowity: powinno ci z nimi być dobrze. Salonów pańskich wprawdzie u nas nie ma, zbytku nie znamy, ale jest za to dostatek, ład i oszczędność.

Pociąg zatrzymał się i wysiedli. Tłum gęsty zalegał platformę; zewsząd słychać było okrzyki radości i powitania, zmieszane z wołaniem posługaczy i służących hotelowych. Pan Radlicz podał Helence ramię i przeprowadził ją przez tłum na drugą stronę dworca.

– Nie kazałem nikomu czekać na siebie – rzekł do niej – bom nie mógł na pewno dnia powrotu oznaczyć, a nie lubię, gdy ludzie tracą czas nadaremnie. Dom mój jest niedaleko stąd, pójdziemy więc pieszo, a potem przyślemy po rzeczy.

„Czyż czas służących jest tak drogocenny? – myślała Helenka. – Cóż wielkiego, gdyby lokaj pana Radlicza przyszedł tu kilka razy na próżno!”

Przeszli między szeregami dorożek i skierowali się w aleję. Noc była ciemna, ale latarnie oświetlały drogę. Powiew mroźnego wiatru orzeźwiająco podziałał na nią: w głowie zrobiło się jakoś jaśniej, w duszy raźniej i wdzięczna była swemu opiekunowi za tę przechadzkę. Przed dużym, piętrowym domem zatrzymał się i rzekł:

– Jesteśmy już na miejscu.

W bramie pod samą latarnią na ławie siedział stróż i czytał „Kuriera”. Ujrawszy swego pana powitał go z widoczną radością i otworzył drzwi szklane, prowadzące na schody. Weszli na pierwsze piętro i zaledwie pan Radlicz pociągnął za dzwonek, gwar dwóch głosów dał się słyszeć w przedpokoju, jakby dwie osoby biegły na wyścigi drzwi otwierać, a w gwarze tym można było dokładnie rozróżnić te wyrazy:

– To ojciec, to pewno ojciec!

Nareszcie drzwi otworzyły się i pan Radlicz został obkoczony przez dwoje młodych dziewcząt, które zaczęły go ścisnąć, całować, zarzucać pytaniami, ściągać z niego futro, a z całego powitania widać było, jak bardzo był kochany ten rozumny ojciec. Helenka, stojąca na boku, patrzyła na tę scenę rodzinną z sercem ściśniętym, a przed oczyma jej stanął obraz rodziców samotnych i strapionych. Oswobodziwszy się z objęć córek, pan Radlicz obejrzał się za swoją towarzyszką i wzięwszy ją za rękę, powiedział:

– Moje dzieci, oto jest panna Orecka, o której wam pisałem; zapoznajcie się z nią i postarajcie się, żeby jej u nas było dobrze.

Obie panny Radliczówny wyciągnęły ręce życzliwie do nowo przybyłej, a ona ujęta ich pełną prostoty uprzejmością, każdą z rąk sobie podanych uścisnęła serdecznie. Była w obcym domu, daleka od wszystkiego, co kochała, i bardzo potrzebowała życzliwości. Gdy zdjęły z niej aksamitne, lisami podbite futro, pan Radlicz rzekł wesoło:

– Żebyś pani wiedziała, z jak dostojnymi osobami będziesz odtąd przestawać, wymienię pani ich tytuły: to jest Andzia, moja starsza córka, bardzo rozmiłowana w swoim fachu kwiaciarka, prawdziwa artystka w układaniu bukietów, za które na wystawie ogrodniczej otrzymała medal.

– Ach, ojczu, bo się zarumienię – przerwała śmiejąc się Anna.

– To Elżunia, rokiem od niej młodsza, zajmuje się malowaniem na porcelanie; powiada ona, że nie pragnie medalu, bo go sama sobie namalować potrafi.

Ogólny śmiech był odpowiedzią na te słowa.

– Najstarszej mojej córki nie mogę pani pokazać, bo mieszka na wsi z dziadkiem – mówił dalej pan Radlicz, a twarz jego przy tym sposepniała – prowadzi ona gospodarstwo kobiece, a głównie zajmuje się fabrykacją konfektów na podobieństwo kijowskich. Ta także nie ma jeszcze medalu, ale go dostanie z pewnością, bo wyroby jej znalazły wielkie w handlu uznanie. A teraz, kiedyś się pani dowiedziała, że będziesz żyła w gronie samych znakomitości, pójdziemy dalej. Andziu, gdzie jest matka?

– Mama jest w jadalnym pokoju z Andrzejem, proszę ojca, pewnie nie słyszeli dzwonka.

– To dobrze, chodźmy do nich, zrobimy im niespodziankę.

Pani Radliczowa siedziała w dużym krześle przy stole i cerowała starannie skarpetkę. Przed nią leżały dwa stosy tych skarpetek: jedne były już pocerowane, porządnie wyciągnięte i złożone, drugie jeszcze wcale nie ruszone. Obok tych stosów leżał duży kłębek bawełny, paczka tasiemek i nożyczki. Lampa, spuszczaająca się od sufitu, rzuciła światło wprost na jej głowę, pochyloną nad robotą, na czarny tiulowy czepek; na wysuwające się spod czepka włosy, gładko przyczesane na skroniach, a tak czarne, że aż wpadały w odcień błękitnawy: na czoło, porysowane licznymi podłużnymi i poprzecznymi liniami, na brwi szerokie i gęste, na nos orli i koniec brody, której kształty nieco ostre znamionowały wytrwałość i energię. Cera ciemnooliwkowa podnosiła jeszcze charakter energiczna jej twarzy, tak bardzo już charakterystycznej.

Syn siedział naprzeciw matki po drugiej stronie stołu i czytał głośno gazetę, a pani Radliczowa od czasu do czasu podnosiła na niego duże, wypukłe oczy, w których malowało się głębokie skupienie myśli i rozważa – jakby w twarzy syna szukała rozwiązania faktów uderzających jej umysł – a podniesiona igła zatrzymywała się na chwilę w powietrzu, po czym poruszała się w jej rękach z większą jeszcze szybkością.

Czy była piękna kiedy lub nie, tego na pewno wiedzieć nie było można, ale to pewna, że rysy jej musiały być łagodniejsze w młodości i tylko życie wśród ciężkich okoliczności zaostriżyło ich kontury tak bardzo, że aż odebrało im delikatniejsze cechy kobiecości. Nie była to głowa piękna, ale każdy malarz byłby ją chętnie umieścił na swym płótnie, przypominała bowiem typy dawnych Rzymianek z najświetniejszych czasów Rzeczypospolitej. Tak niezawodnie wyglądać musiała matka Gracchów²⁷.

Kto widział razem oboje państwa Radliczów, ten musiał być uderzony dziwnym między nimi podobieństwem – podobieństwem nie zasadzającym się na rysach, bo te były bardzo od siebie różne, ale na ogólnym wyrazie. Snadź²⁸ dwoje tych ludzi musiało się wzajem dobrze rozumieć, snadź musieli z sobą iść zgodnie ręka w rękę przez życie, skoro wędrowni ta napiętnowała ich twarze jednakowym wyrazem.

Andrzej był bardzo podobny do ojca: te same miał rysy nieregularne, te same oczy, błyszczące inteligencją i przenikające do głębi, nawet te same dwie fałdy idące wzdłuż czoła. Tylko kolorem cery i włosów przypominał matkę. Włosy te, krótko przystrzyżone i zaczesane do góry, sterczały na głowie jak szczotka, a krótka amerykańska broda dopełniała charakteru tej twarzy wyrazistej, która na pierwszy rzut oka wydawała się brzydka. Broda czyniła Andrzeja znacznie starszym, niż był, wyglądał bowiem na lat czterdzieści, a miał dopiero trzydzieści dwa.

Gdy pan Radlicz, przywitawszy się z żoną, przedstawił jej Helenkę, pani odjęła okulary²⁹ i przez chwilę przypatrywała się jej delikatnej twarzyczce i eleganckiemu podróżnemu ubiorowi, po czym podniosła na męża wzrok, który zdawał się mówić:

„Niewiele będziemy mieli pociechy z tej pracownicy”.

Pan Radlicz zrozumiał znaczenie tego wzroku i rzekł głośno:

²⁷ matka Gracchów a. matka Grakchów (190–100 p.n.e.) – Kornelia Afrykańska Młodsza, córka wodza rzymskiego Scypiona Afrykańskiego, matka 12 dzieci, które po śmierci męża wychowywała samotnie. Uważana w Rzymie za wzór matki, rozwijającej w dzieciach cnoty obywatelskie. Dwoch jej synów, Tyberiusz i Gajusz, zostało trybunami ludowymi. [przypis edytorski]

²⁸ snadź (daw.) – przecież. [przypis edytorski]

²⁹ pani odjęła okulary – w XIX w. panie używały okularów typu *lorgnon*, które trzymało się przed twarzą za rączkę, a panowie nosili zaciśnięte za pomocą sprężynki na nasadzie nosa binokle (*pince-nez*). [przypis edytorski]

– Panna Helena nie otrzymała tak praktycznego wychowania jak nasze dziewczęta, ale szczerze pragnie nauczyć się pracować; dała tego dowód doprowadziwszy swój zamiar do skutku, pomimo przeszkód, jakie miała do zwalczania ze strony rodziców. Miejmy nadzieję, że wytrwa.

– Daj Boże – odpowiedziała pani Radliczowa nieco przyjaźniejszym tonem – z całego serca życzę tego pannie Oreckiej.

I podawszy jej rękę, wskazała krzesło obok siebie. Helenka ze swej strony w milczącym podziwieniu przypatrywała się tej kobiecie, tak bardzo różniącej się od jej matki nie tylko twarzą, obejściem i głosem, brzmiącym niskimi tonami, ale nawet wszystkimi szczegółami ubioru, którego nadzwyczajna prostota biła w oczy. Tamta była skończonym typem wielkiej damy, delikatnej, nerwowej i wечно potrzebującej opieki – ta kobiety czynnej, energicznej i zdrowej, a szerokie jej ramiona i silna budowa pokazywały, że sama potrafi dużo znieść i jeszcze innych wesprzeć i obronić. Tamta była uosobieniem wdzięku słabości, ta siły moralnej i fizycznej.

„Jest to niewątpliwie osoba wzbudzająca wielki szacunek – myślała sobie Helenka – ale jest w niej także coś, co jej się bać każe. Nie wiem, czy kiedy potrafię ją pokochać. Ale jak też może sama cerować tę szkaradną pończochę! Czy nie mogłaby tego kazać zrobić służącej?”

– To jeszcze jedna znakomitość – odezwał się pan Radlicz przedstawiając Helence swego syna – ogrodnik z zawodu, gorliwy mój pomocnik w handlu i przyszły wspólnik. Firma „Radlicz” zmieni wkrótce tytuł i będzie nosić nazwę: „Radlicz i Syn”.

Andrzej ukłonił się z chłodną grzecznością. Piękność Helenki zrobiła na nim wrażenie, ale było to wrażenie innego zupełnie rodzaju niż te, do jakich ona była przyzwyczajoną; nie objawiało się widocznym zachwytem, ale wyrazem ciekawości i idącej za nią chwilowej obserwacji.

„Ach, jakież brzydki! – pomyślała – czy też znajdzie się kiedy kobieta, co się odważy go zaślubić?”

Podano herbatę i Helenka dziwiła się w duchu, że zastawa była tak skromną; składały ją: bułki, chleb, masło, ser i szynka – co zaś najwięcej dziwiło, to, że pan Radlicz smakował widocznie więcej w tym skromnym posiłku niż w owej sutej wieczerzy, jaką go w M. przyjmowali jej rodzice. Ona sama nie jadła nic, choć ją uprzejmie częstowano – przyjęła tylko szklanekę herbaty z rąk pani Radliczowej, a i ta wydawała się jej cierpka i niesmaczna, może z powodu, że ją podano w szklankach z grubego, nie szlifowanego szkła, a nie w filiżankach z francuskiej porcelany, jak to było zwyczajem w domu, gdzie nie dawano także najzylbrowych³⁰ łyżeczek. Już to srebra na stole nie było nawet na lekarstwo, a bielizna³¹ stołowa nie odznaczała się bynajmniej cienkością i miała popospolity deseń.

Podczas gdy ojciec jadł, Andrzej zdawał mu sprawę z interesów, jakie zostały dokonane pod jego nieobecność, a gdy skończył, siostry prześcigały się w opowiadaniu różnych drobnych faktów, zaprawiając opowiadanie humorem. Wybuchy śmiechu, żarty, dowcipy niby błyskawice krzyżowały się ponad stołem; gwarno było i wesoło. Śmiał się ojciec, śmiał się syn, nawet matka uśmiechała się i wtrącała od czasu do czasu jakieś słowo, nie przestając ani na chwilę cerować swoich skarpetek. Na Helenkę nikt nie zważał; zostawiono ją samej sobie, jakby jej umyślnie chciano dać czas i sposobność do oswojenia się z nowym miejscem i otoczeniem. Dla niej wszystko tu było nowe, nawet ta atmosfera zdrowia moralnego, tryskającego z każdej twarzy, i ta rzeźwość umysłów, i to poprzestawanie na małym, wystarczające widocznie wszystkim – i te niewinne źródła humoru, wywołujące ogólną wesołość. Wychowanie i życie dotychczasowe nie dały jej tych pierwiastków. Czuła, że trudno jej będzie dostroić się do tonu panującego tutaj, i smutno jej się zrobiło. To co im wystarczało, jej wystarczyć nie mogło – co ich rozweselało, jej by nie mogło rozśmieszyć.

Obie panny Radliczówny były przystojne: rysy ojca i matki łączyły się w nich z mniejszą lub większą przewagą na korzyść jednego lub drugiego z rodziców, ale obie tak były do siebie podobne

³⁰ najzylbrowy (z niem. *Neusilber*: nowe srebro) – z imitacji srebra, wykonanej ze stopu miedzi, cynku i niklu, zwanej mosiądzem wysokoniklowym lub nowym srebrem. [przypis edytorski]

³¹ bielizna stołowa (daw.) – tkaniny używane przy nakrywaniu stołu: obrus i serwetki. [przypis edytorski]

ze świeżości cery, pogody spojrzenia i rozwinięcia kształtów, że na pierwszy rzut oka niełatwo było jedną od drugiej odróżnić i umiało się to dopiero po dłuższym na nie patrzeniu. Wówczas dostrzegało się różnice nawet znaczne. Obie miały suknie z taniego wełnianego materiału, skrojone i uszyte z istic spartańską prostotą, bez kosztownych ozdób, jak to było u Helenki. Wyglądała ona między nimi jak osoba z innego świata, jak wąż, cieplarniana roślina wśród świeżych kwiatów polnych, zahartowanych na wietrze i słońcu. Musiał sobie podobną zrobić uwagę pan Radlicz, bo spoglądał na nią i na swoje córki, jakby je z sobą porównywał.

Podróż całodzienna i zbytek nowych wrażeń tak zmęczyły Helenkę, że z upragnieniem oczekiwała chwili wstania od stołu i rozejścia się towarzystwa. Zauważyła to pani Radliczowa i zaproponowała jej, aby wcześniej udała się na spoczynek.

– Elżunia zaprowadzi panią do pokoju dla pani przeznaczonego – powiedziała – wszystko tam jest przygotowane na pani przyjęcie i łóżko już posłane.

Helenka natychmiast skorzystała z tego pozwolenia i to była jedyna chwila, w której oczy jej żywym zajaśniały blaskiem.

– Panno Heleno – rzekł pan Radlicz, gdy opuszczała pokój – obowiązki pani rozpoczną się dopiero pojutrze, jutro jest dzień świąteczny. Nie potrzebujesz pani zrywać się bardzo rano; wypocznij sobie dobrze.

– Będzie pani miała śliczny pokoik – mówiła Elżunia, prowadząc ją ze świecą po schodach na wyższe piętro – duży i słoneczny, z widokiem na ogród. Jestem pewna, że się pani spodoba.

Otworzyła drzwi, podniosła świecę do góry i, puszczając nowo przybyłą przed sobą, zawołała wesoło:

– A co! czy nie milutkie mieszkanko?

Ale Helenka nie zdobyła się na odpowiedź. Zdziwionym wzrokiem wodziła po ścianach świeżo wybielonych, po podłodze niefroterowanej, ale białej i czystej, po skromnych sprzętach i milczała. Składały się one z łóżka żelaznego, szafy jesionowej do rzeczy, stołu do pisania, dwóch wyplatanych krzesełek i umywalnika żelaznego także, na trzech nogach, z garniturem fajansowym. Elżunia, przypisująca milczenie Helenki przyjemnemu zdziwieniu, a nie mogąca się doczekać odpowiedzi, spytała powtórnie:

– Ładny pokoik, prawda?

– Tak, bardzo ładny – odpowiedziała machinalnie.

Było w tonie tej odpowiedzi coś, co uderzyło pannę Radliczównę. Spojrzała z uwagą w oczy nowej towarzyski, ale oczy te wydały się zagadkowe jak oczy Sfinksa. Delikatność nie pozwalała zadać więcej pytań – zwłaszcza iż zdawało się Elżuni, że panna Orecka pragnie jak najprędzej zostać sama. Postawiła więc świecę na stole, powiedziała jej dobranoc i odeszła.

– I ona to nazywa „ładnym pokoikiem”! – rzekła, śmiejąc się sucho, Helenka, gdy się drzwi za wychodzącą zamknęły. – Ładny, ani słowa! Panna służąca mojej matki ma trochę lepszy, bo przynajmniej wytapetowany, i nigdy jeszcze nie myła się tym obrzydliwym prostym mydłem, którego sama woń przykra już może przyprawić o mdłości.

Niewiele myśląc otworzyła lufcik i wyrzuciła mydło z irytacją za okno. Spostrzegła przy tej czynności szarą płócienną roletę i spuściła ją, wruszywszy ramionami z politowaniem na widok skromnego wyszycia z białej taśmy, które miało stanowić ozdobę, a w jej pojęciu było równie ordynarne jak firanka z białego perkalu w duże niebieskie kwiaty. Cóż to był za kontrast z prześlicznym, różowym pokoikiem, jaki miała w domu! Nie było tu ani jednego sprzętu wyściełanego, nic takiego, co by miało jakiegokolwiek podobieństwo z fotelem lub kanapą, na czym by można usiąść wygodnie, oprzeć się lub położyć. Łóżko stało przy ścianie niczym nie osłoniętej, a na podłodze leżał mały wołkowy dywanik.

– Ach! – jęknęła Helenka – bez wszystkiego obejść się można, ale jak tu żyć bez kanapy!

Świeca pałąca się w mosiężnym lichtarzu i leżąca przy niej papierowa paczka zapalek raziły jej smak estetyczny – jak również stół czarno lakierowany i prosty szklany kałamarz. Kto inny na jej

miejscu byłby zadowolony z pokoju czystego, ciepłego i zaopatrzonego we wszystkie potrzeby, ale ona upatrywała w nim podobieństwo do celi więziennej i czuła się bardzo pokrzywdzona. Pozbawiona komfortu, do którego przywykła od dzieciństwa, traciła ochotę do walki z losem na pierwszym zaraz kroku. Ogarnęła ją żalność już nie za rodzicami i ich osamotnieniem, ale nad sobą samą. Ciężka ich dola zbladła w jej oczach wobec wielkości własnego poświęcenia – a obrazy tego wszystkiego, czego się dla nich wyrzekła, przesunęły się kolejno przed oczyma jej duszy w barwach więcej uroczych niż kiedykolwiek.

Do serca czystego dotąd przystąpił szatan pychy i to, co było tylko obowiązkiem, przedstawił jej jako olbrzymią, podziwiania godną ofiarę.

Na łóżku leżała wełniana, grubo watowana kołdra w kolorowe kraty i duża, ciężka poduszka w perkalowej poszewce. Spojrzała na jedno i drugie z posępną rezygnacją, ale gdy, odwinąwszy kołdrę, spróbowała posłania i poczuła pod ręką materac z trawy morskiej, w którym nic miękkiego ani elastycznego nie było – brakło jej odwagi do położenia się.

Szybkim, nerwowym krokiem chodziła po pokoju, czekając na służącą, która, zdaniem jej, powinna była przyjść rozpakować jej rzeczy; ale służąca nie przychodziła. Chciała zadzwonić, ale taśma od dzwonka nie było nigdzie – wołać zaś nie chciała i nie mogła, bo nie wiedziała, w której stronie domu służba ma pomieszczenie. Mogłaby jeszcze zabłądzić w tym ogromnym budynku, pełnym długich a wąskich korytarzy i ciasnych zaułków, przypominających klasztor i napęniających ją obawą.

Minęło tak pół godziny, a nikt nie przychodził. Czując niezmiernie znużenie, a nie chcąc czekać dłużej, Helenka z westchnieniem zabrała się sama do otwierania swych kufrów – a przyszło jej to z większą łatwością, niż przypuszczała. Na wierzchu zaraz leżała różowa atlasowa kołdra, podpięta webowym prześcieradłem, bogato haftowanym po brzegach, i jedwabna puchowa poduszka, obleczone w batystową poszewkę. Z radością pochwyciła te dwa przedmioty, tak żywo uprzytomniające jej ulubiony różowy pokój, i odrzuciwszy z pogardą kraciatą kołdrę i ciężką pierzaną poduszkę, zastąpiła je swoją elegancką pościelą.

Klękała do pacierza, ale słowa modlitwy, przeplatanej gorącymi łzami, urywały się co chwila lub wydobywały bezwładnie. Usta jej tylko wymawiały, nie serce przepełnione goryczą.

Mimo wielkiego znużenia i senności, długo przewracała się na materacu z morskiej trawy, której źdźbło każde urażało ją, zanim wreszcie przyszedł sen dobroczynny i przyniósł jej zapomnienie.

VIII

Nazajutrz obudziło ją wejście służącej; była to niemłoda kobieta z dużą, pocziwą, ale poważną twarzą. Ubiór jej uderzał nadzwyczajną czystością, a biały, starannie wyrurkowany czepek leżał na głowie jak ulany i noszony był z godnością.

– Pani kazała mi się dowiedzieć, czy panna przyjdzie na śniadanie? Państwo już siedzą przy stole i tylko na pannę czekają.

Słowa te, powiedziane grubym i niezbyt słodkim głosem, od razu przypomniały Helence nowe położenie, w jakim się znajdowała od wczoraj. Przetarła oczy i, siadając na łóżku, rzekła:

– Moja dobra kobieto, przepraszam państwa i powiedz, że nie przyjdę. Tylko co się obudziłam i nie zdołam ubrać się tak prędko.

„Dobra kobieto” nie śpieszyła się z zanieśieniem państwu tej odpowiedzi; patrzyła na batystowy kaftanik „panny” i przybierające go falbanki, na poszewkę i prześcieradło, zdobne delikatnymi haftami, zmierzyła ciekawie oczyma oba kufrы i wyszła, mruczając z niezadowolaniem.

– To dopiero będzie zawrót głowy z praniem i prasowaniem dla tej księżniczki. Potrzebnie też to pan przywiózł takie paniątko? Tylko trzeba będzie temu ciągle usługiwać! Ciekawam, czy też ona zarobi to, co zje?

Helenka dosłyszała tylko pierwsze wyrazy, dalsze bowiem wymówione już były za drzwiami i na schodach, ale to, co usłyszała, zdziwiło ją niesłychanie. U rodziców służące nigdy nie narzekały na pranie i prasowanie; wszystko im było jedno, co robiły, i zawsze były zadowolone.

Drzwi otworzyły się znowu i służąca wniosła na tacce szklanekę herbaty i dwie bułki nasmarowane masłem. Helenka rzuciła okiem przelotnie na ten posiłek, który jej się wydawał mniej niż skromny, i widząc, że służąca zabiera się znowu do odejścia, rzekła:

– Moja dobra kobieto...

– Nazywam się Kunegunda – przerwała służąca z godnością.

– Moja dobra Kunegundo, proszę cię, przyjdź za kwadrans, to mnie uczeszesz.

Kunegunda, kładąca już rękę na klamce, odwróciła się na te słowa i sądząc, że się przesłyszała tylko, spytała:

– Co panna każe?

– Proszę cię, żebyś mnie przyszła uczesać – powtórzyła wymawiając głośno i dobitnie każdy wyraz.

Na twarzy Kunegundy odmalowało się prawdziwe zdumienie.

– Przepraszam pannę – rzekła po chwili milczenia – ale nie służyłam nigdy za garderobianą i nie umiem czesać nikogo, tylko siebie.

– Więc przyślij mi kogo innego do uczesania!

– Ciekawam kogo, proszę panny? Jest nas wszystkich kobiet tylko trzy: ja, praczka i kucharka, i one obie poszły do kościoła. A choćby i były w domu, to wiem, że takiej delikatnej rzeczy nie potrafią, bo mają ręce bardzo grube i narobione. Z przeproszeniem panny, ale to pewnie był tylko żart? Gdzie by zaś panna uczesać się nawet nie umiała! Nasze panienki mają bardzo ładne włosy, ale nikt ich nie czesze...

Kunegunda, nazywająca ją ciągle po prostu „panną” – miała jednak pieśczośliwsze nazwanie dla swoich „panienek”. Helenka doskonale odczuła tę różnicę.

– Nie omyliłaś się, moja dobra Kunegundo – rzekła po namyśle, przygryzając usta – istotnie, żartowałam tylko.

– Ja też to zaraz zmiarkowałam – odpowiedziała i wyszła wrzuciwszy ramionami.

Gdy drzwi zamknęły się za nią, Helenka załamała ręce.

– A to dopiero historia! – zawołała – co ja teraz pocznę? Nigdy sama nie próbowałam się czesać! Nasza Julka była taka zręczna...

Kłopot ten odebrał jej apetyt. Wypiła czystą herbatę i odsunęła tackę.

– Nie ma rady! Trzeba samej spróbować – rzekła z westchnieniem i zaczęła wstawać.

Ale cała godzina upłynęła, zanim po kilkakrotnym splataniu i rozplataniu, upinaniu i rozpinaniu zdołała jako tako ułożyć włosy, których obfitość i długość przedstawiła istotną trudność dla osoby, mającej pierwszy raz z nimi do czynienia. Dodać trzeba, że coraz to szło gorzej i że w miarę niepowodzenia rosła niecierpliwość, a w miarę wzrostu niecierpliwości coraz więcej włosów pozostawało na grzebieniu – a doprawdy było czego żałować, bo gęste te włosy miały kolor jasnopopielaty, rzadkiej piękności, a miękkość i połysk jedwabiu. Gdy się tak męczyła, zapukano z lekka do drzwi i ukazała się w nich postać pani Radliczowej.

Jeżeli Helenka wczoraj, przestąpiwszy progi swego nowego mieszkania, była skromnością jego zdziwiona, to niewątpliwie więcej dziś była zdziwiona pani Radliczowa na widok zmian, jakie w nim znalazła. Bystre jej oczy chodziły kolejno od wykwintnej pościeli do otwartych kufrów, z których wyglądające przedmioty przewracane były w najwyższym nieładzie; od kufrów do torebki podróżnej ze złożonej skórki, przewieszanej przez poręcz krzesła; od torebki do cienkiego ręcznika, ozdobionego dużym monogramem z koroną; od ręcznika do srebrnego kubka z cyframi³², stojącego obok miednicy; od kubka do leżącego na stole puzderka, wybitego zewnątrz skórą, a wewnątrz wysłanego czerwonym aksamitem. Na jego tle ładnie odbijały szyldkretowe grzebienie i kryształowe flakony, z których wydobywały się jakieś subtelne zapachy. Ukończywszy podróż naokoło pokoju oczy pani Radliczowej ze szczególną uwagą zatrzymały się na właścicielce tych wszystkich przedmiotów i, poczynszy od kaftanika, ozdobionego różowymi kokardami, przesunęły się aż do jej stóp, obutych w niebieskie aksamitne pantofelki, haftowane srebrem.

Helenka niemiłego doznała uczucia wobec tych szczegółowych oględzin przedmiotów do niej należących i swojej osoby. Czowała, że ją badają, krytykują, że ją sądzą – choć nie pojmowała, co w niej być mogło wykraczającego przeciw panującym w tym domu przepisom.

– Patrząc na panią nikt by nie uwierzył, żeś tu przybyła zarabiać na chleb powszedni – przemówiła nareszcie pani Radliczowa – wyglądasz jak księżniczka, która przypadkiem tylko zabłądziła do ubogiego mieszczańskiego domu.

Słowa te, a więcej jeszcze ich ton, dotknęły Helenkę.

– Nie mam zamiaru grać tu żadnej roli – odrzekła podnosząc dumnie głowę – co zaś do mej powierzchowności, to nie moja w tym wina, jeżeli nie mam szczęścia podobać się pani.

– Nie chciałam pani obrazić – powiedziała pani Radliczowa łagodniej – powierzchowności pani nic nie zarzucam, wyjąwszy tego, że jest nazbyt pańską. Znać to, żeś pani przywykła rozkazywać, i budzi się we mnie wątpliwość, czy potrafisz żyć w zależności i ulegać woli innych. Pozwól mi pani dokończyć – mówiła spostrzegając, że Helenka chce coś odpowiedzieć. – Jeżeli panią nazwałam księżniczką, to głównie z powodu tych wszystkich kosztownych a niepożytecznych drobnostek i fatałaszków, jakich tu pełno widzę. Dziwią panią moje słowa? Już to pani pewnie spostrzegłaś, że dyplomatką nie jestem i mówię po prostu, co myślę, bez owijania w bawełnę. Powiem więc jeszcze, że te wielkie kufry wprawiają mnie w zdumienie. Po co pani przywiozłaś z sobą takie mnóstwo rzeczy? My tu żyjemy skromnie, bywamy bardzo mało i tylko u ludzi jak my pracujących; balów też nie wydajemy. Strojów pani nikt nie zobaczy. Będziesz pani miała z nimi tylko kłopot, bo to trzeba raz po raz przewietrzać i trzepać, żeby się nie zleżało. I samej się tym trzeba zająć, bo służące nic dobrze nie zrobią, jeżeli się ich nie pilnuje.

– Na żadne zabawy u państwa nie liczyłam – rzekła Helenka, która się znowu poczuła dotkniętą – tylko na pracę, dla której wyłącznie tu przyjechałam. W kufrach moich nie ma ani jednej sukni balowej, jest tylko kilka wizytowych, codziennych i bielizna. Wszystkiego razem niewiele.

³² cyfry (tu daw.) – inicjały, pierwsze litery imion i nazwiska właściciela przedmiotu, często ozdobnie wykaligrafowane. [przypis edytorski]

– Można by w nie zmieścić dwie wyprawy i jeszcze by się coś miejsca zostało – powtórzyła pani Radliczowa obstając przy swoim. – Pani niezawodnie innego jesteś zdania i nie dziwię się temu. Wzrosłaś w atmosferze zbytku i nie masz pojęcia o przestawaniu na małym – a jednakże ono czyni ludzi szczęśliwsiymi, bo im daje większą swobodę. Człowiek, nie mogący się obejść bez wielu rzeczy, staje się rzeczywiście ich niewolnikiem. Im więcej potrzeb, tym większa niewola.

Logika tych słów o mało nie rozśmieszyła Helenki. Ale bo też to była logika dziwna! Wszystko to służy do wygody, czyni przecież życie łatwiejszym i przyjemniejszym – tak przynajmniej ona sama i wszyscy w domu zapatrywali się na tę sprawę. Patrzeć na nią z punktu widzenia pani Radliczowej nikomu nie przyszło do głowy.

– Czy pani wiesz o tym, że te wszystkie przedmioty, jakie tu widzę porozkładane, przedstawiają niemałą wartość pieniężną i że za sumę, jaką niegdyś kosztowały, mogłaby żyć pół roku rodzina z kilku osób złożona?

– Czy być może – wyszeptała – nie przyszło mi to nigdy na myśl.

– Pewnie pani także nigdy nie pytałaś się, ile co kosztuje. Nieprawdaż?

– Istotnie, mało mnie to obchodziło.

– Żałuję pani bardzo.

Nastąpiła chwila milczenia.

– Mąż mój opowiadał mi wiele o domu rodziców pani i o powodach, jakie cię skłoniły do szukania pracy – mówiła dalej pani Radliczowa siadając na krześle, co pozwalało wnosić, że nie zaraz myśli odejść. – Powiada on, że w pani są bogate materiały, które praca samodzielna na jaw wydobędzie i rozwinie. I ja tak myślę, ale obawiam się, że pani będziesz musiała dużo przecierpieć, zanim dostroisz się do naszych warunków życia i naszego porządku domowego. Przyzwyczajenie bowiem drugą jest naturą.

– Wiem o tym – rzekła pośepnie Helenka – ale cokolwiek bądź miałoby mnie to kosztować, nie cofnę się.

– Roztropniej byłoby nie ręczyć za siebie, a wytrwałości w postanowieniu dowieść czynem. Ale już chwilę z sobą rozmawiamy, a nie powiedziałam pani jeszcze, po co tu przyszłam. Wyglądałaś pani wczoraj wieczorem tak blado, że gdy dziś rano nie zjawiłaś się przy śniadaniu, przypuszczaliśmy wszyscy, że jesteś niezdrowa. Nic łatwiejszego, jak przeziębienie się w drodze, zwłaszcza gdy się podróż odbywa w styczniu. Przyszłam więc sama zobaczyć, jak się pani masz, i powiedzieć pani dzień dobry.

Były to pierwsze cieplejsze słowa, jakie Helenka usłyszała z ust pani Radliczowej, toteż uczuła żywą za nie wdzięczność.

– Dziękuję pani bardzo – odpowiedziała – jestem zdrowa, tylko długo wczoraj zasnąć nie mogłam i dlatego zbudziłam się tak późno.

– Pewnie pani było niewygodnie spać? Przynaj się pani.

Komu innemu na podobne zapytanie Helenka zaprzeczyłaby w najgrzeczniejszy sposób – ale wobec osoby „nie lubiącej nic obwijać w bawełnę” i gardzącej wszelką dyplomacją prawdomówność zdawała się być najwłaściwszą.

– Jeżeli mam być szczerą, to tak – odpowiedziała – było mi cokolwiek za twardo; ale powoli przyzwyczaję się pewnie do tego.

– Moje córki spiąją tak zawsze i mówią, że im jest doskonale. A gdy raz w gościnie posłano im na puchowej pościeli, nie mogły, tak jak pani wczoraj, długo zasnąć i nazajutrz skarżyły się na ból głowy. Do wszystkiego przyzwyczać się można. Staralam się moje dziewczęta hartować, przyzwyczałam do trudów i niewygód i dzięki tej metodzie wychowania wyrosły na kobiety zdrowe, silne, nie chorujące prawie nigdy. I jest to rzecz bardzo naturalna: ciało rozpieszczone zbyt miękkim wychowaniem nie posiada w sobie żadnej siły odpornej, wrażliwsze jest na szkodliwe wpływy zewnętrzne i przystępniejsze dla chorób. Pani jesteś bardzo wątłą i delikatną, ale gdy pożyjesz z nami czas jakiś, nabierzesz niezawodnie lepszej cery.

Podczas gdy pani Radliczowa mówiła, oczy jej nie spoczywały ani na chwilę. Biegały po różnych przedmiotach i coraz to odkryły coś nowego, czego nie dostrzegły przy pierwszej podróży naokoło pokoju. Kołdra kraciasta, rzucona niedbale na krzesło wraz z poduszką, raziła jej zmysł porządku. Wstała i złożyła ją starannie; to samo zrobiła z grubym płóciennym ręcznikiem, którego Helenka nie użyła, a który, spadłszy z łóżka, leżał sobie spokojnie na podłodze. Widząc ją podnoszącą go z ziemi, składającą ze szczególną uwagą na równość brzegów i wygładzającą rękami złożenie, Helenka czuła zakłopotanie i ogarniający ją strach przed tym porządkiem panującym widocznie w tym domu wszechwładnie i usiłującym wszystko i wszystkich podciągnąć pod swoje prawa.

Na fajansowej miseczce obok miednicy leżało wonne, migdałowe mydło. Bystry wzrok pani Radliczowej musiał z kolei spocząć i na nim.

– Widzę, że pani nie lubisz mydła prostego – zauważyła spokojnie. – Moim zdaniem, czyści ono skórę lepiej od wszystkich innych, a jest bezwarunkowo higieniczniejsze, bo nie zawiera przeróżnych, a zdradliwych często mieszanin. Ma też i tę wielką nad nimi wyższość, że jest tańsze o dziewięćdziesiąt procentów; lecz skoro nie chcesz go używać, może pozwolisz, żebym je zabrała. Gdzież ono jest?

Helenka zmieszana się. Czuła teraz, że to, co z mydłem zrobiła, wyda się naganne pani Radliczowej – ale niestety, nie można już było tego odrobić.

– Wyrzuciłam je za okno – odpowiedziała – nie mogłam znieść jego przykrej woni.

– Jak pani mogłaś to zrobić! – zawołała z oburzeniem. – Czy pani wiesz, że to kosztuje pieniądze?

– Zdawało mi się – szepnęła Helenka, zmieszana jeszcze bardziej – że kawałek prostego mydła nie może kosztować więcej nad parę groszy...

– Więc grosze mają u pani tak małą wartość, że można je wyrzucać za okno? Z groszy składają się złotówki, moja pani! Czyż pani o tym nikt nie powiedział?

– Uczyniłam to pod wpływem chwilowego wrażenia – tłumaczyła się – nad konsekwencjami mego czynu nie zastanawiałam się bynajmniej. Nie przypuszczałam też ani na chwilę, że kto zwróci uwagę na taki drobiazg...

– Nie ma rzeczy tak drobnych, nad którymi nie byłoby warto się zastanowić – naucz się pani tej prawdy. Marnowanie lekkomyślne tego, co się może zdać na jakikolwiek bądź użytek, jest grzechem. Czy przedmiot ma większą, czy mniejszą wartość, czy kosztuje dukata, czy grosz, to wszystko jedno; tak czy owak, jest on owocem pracy ludzkiej, ludzkiego potu i wysiłku. Poniewierając więc nim, choćby to był tylko kawałek prostego mydła, jest to poniewieranie życiem ludzkim.

Słowa pani Radliczowej padły na rolę niedostatecznie jeszcze do ich przyjęcia przygotowaną, toteż sprawiły zupełnie inne wrażenie, niż chciała mówiąca – podrażniły tylko Helenkę. Zaczęła żałować, że się usprawiedliwiała, i podnosząc głowę, rzekła z głęboką urazą w głosie:

– Sądziłam, że z tym, co było dla mnie przeznaczone, mogę robić, co mi się podoba, i że nikt nie zażąda z tego ode mnie rachunku. Widzę jednak, jak bardzo się omyliłam, i że moją nierozwagą znaczną wyrządziłam państwu szkodę. Toteż gdybym się nie obawiała pani obrazić...

Przy tych słowach wzrok jej pobiegł w kierunku stołu, na którym leżała jedwabna sakiewka.

– Tobyś mi pani zwróciła pieniądze za mydło, nieprawdaż? – odrzekła z ironią pani domu, zauważywszy to spojrzenie. – Nic byś pani jednak nie naprawiła. Cała sakiewka pani nie powróci rzeczy zmarnowanej, a ja z zasady potępiam marnotrawstwo, czy ono wielkich, czy małych rzeczy dotyczy. Pani dziś tego nie rozumiesz, bo nie znasz wartości pieniędzy, ale gdy sama zaczniesz pracować, nauczysz się je szanować. Firma „Radlicz” stoi dziś w rzędzie zamożnych instytucji tego miasta i rozwija się coraz bardziej, i zdziwisz się pani pewnie, gdy powiem, że wszystkiego, co posiadamy, dorobiliśmy się własną pracą. Ale praca obróciłaby się wniwecz, gdyby jej nie towarzyszyła oszczędność i gospodarność. Drobiazgów nie lekceważyliśmy; szanowaliśmy grosze i dlatego rozporządzamy dziś setkami tysięcy. Z nich one powstały. Widok marnotrawstwa, będącego chroniczną chorobą naszego kraju, boli mnie, w nim bowiem widzę źródło naszych politycznych

i ekonomicznych nieszczęść. Zaczynało się zawsze od drobiazgów, a że jednostek tak jak pani myślących było wiele, więc z tych drobiazgów rosły olbrzymie sumy, które dla bogactwa narodowego ginęły. Każdy grosz nie tylko jednostce, ale przez nią i ogółowi przynosi korzyść; gdy więc przepada, to razem z ową jednostką i ogół ponosi stratę. Kto więc nie bogaci kraju, ten go uboży, a kto go uboży, ten jest złym patriotą. Mój mąż powiada, że pani dużo czytałaś i pracowałaś nad sobą; musi ci więc być wiadome zdanie francuskiego publicysty, Saya: „Narody nie umiejące pracować i oszczędzać muszą zniknąć z powierzchni ziemi”.

Podczas gdy pani Radliczowa mówiła, niewielka jej, choć barczysta postać zdawała się rosnąć, rysy przybrały jeszcze surowszy wyraz, a duże, wypukłe oczy jaśniały siłą głębokiego przekonania. Na Helence czyniła ona dziwne wrażenie: dotąd na ideał kobiety, w jej pojęciu, składała się słabość pełna wdzięku i dobroć – teraz spotkała się z siłą, której szorstkie formy raziły ją, ale kazały się podziwiać. W czarnej, wełnianej sukni, bez żadnych ozdób, z wąskim, płóciennym kołnierzykiem u szyi, w czarnym czepku tiulowym pani Radliczowa przywiodła jej na myśl kobiety sekty kwakrów, których głównymi zasadami była prostota, surowość obyczajów i wstrzemięźliwość.

– Za wiele może powiedziałam pani rzeczy nieprzyjemnych jak na pierwszy raz – rzekła po chwili – musiałam panią bardzo do siebie zrazić, ale mówiłam pani z góry zaraz, że dyplomacji nie lubię. Z czasem, jak pani nabierzesz więcej doświadczenia i zobaczysz niejedno, co ja widzę, przyznasz mi słuszność. Im prędzej się to stanie, tym lepiej dla pani i otoczenia, w jakim żyć będziesz. Słowa moje może jeszcze nieraz dotkną panią, ale nie miej ich za złe starej. Zna ona świat i życie lepiej od pani i dlatego pozwala sobie czasem bez skrupułu młodemu powiedzieć prawdę. Nie będę pani przeszkadzała dłużej; dokończ się ubierać i urządz w tym pokoju, jak możesz najlepiej. Jeżeli to pani dogodniej, możesz dziś nie schodzić na dół wcześniej jak na obiad, bo do kościoła już i tak nie zdążysz. Moje dziewczęta dawno poszły. Jadamy o drugiej i lubimy punktualność we wszystkim. Spodziewam się, że pani nie każe czekać na siebie. Do widzenia!

Zabrała z sobą ręcznik i kładąc rękę na klamce, odezwała się jeszcze:

– Na miłość Boską, otwórz, pani, okno, jak będziesz stąd wychodzić: tak duszno od perfum i wszelkiego rodzaju zapachów toaletowych, że aż ciężko oddychać. Czy to może być nawet zdrowo siedzieć w takiej aptece!

Po jej wyjściu Helenka długo była jakby oszołomiona: nawał nowych myśli, pojęć i wrażeń tłoczył się do jej umysłu i nie znajdował tam miejsca dla siebie. Wszystko ją dziwiło w tej kobiecie, poczynając od jej ubioru, aż do jej prawdomównej szorstkości, będącej w oczach dziewczęcia brakiem delikatności.

– Dziwny dom – rzekła na koniec do siebie – pan nie każe po sobie przychodzić na kolej, żeby nie fatygować służącego; pani prawi godzinne kazanie z powodu kawałka prostego mydła i nie czuje jego przykrej woni, a zapachu fiołków parmeńskich znieść nie może i każe go oknem wypuszczać. Ciekawam, jaka przy bliższym poznaniu okaże się reszta rodziny. Przewiduję, że ciężko mi tu będzie oddychać. Kiedy składała ręcznik, pilnie zważając, żeby brzeg równał się z brzegiem, zdawało mi się, że to ja jestem tym ręcznikiem i że mnie tak samo będą chcieli złożyć, wyrównać i wygładzić.

IX

Druga godzina dochodziła na zegarze w jadalnym pokoju, gdy Helenka schodziła ze schodów, ubrana w niebieską jedwabną suknię, przybraną aksamitem. U szyi i rąk były obszycia pajęczej delikatności, dodając tej toalecie elegancji lekkiej a wytwornej, podczas gdy długi ogon dodawał jej powagi. Była to suknia, otrzymana w podarunku od matki jednocześnie z balową, aby pasowana na dorosłą pannę jedynaczka miała na publiczne występy galowy mundur, odpowiedni swej nowej godności. Trzeba przyznać, że w sukni tej, w której, mówiąc nawiasem, mogłaby śmiało ukazać się na tańczącym wieczorku, było jej bardzo ładnie. Barwa niebieska odbijała dobrze od przezroczystej cery, a rzucając na twarz pewien odcień niebieskawy, podnosiła jeszcze jej idealny charakter. Na zakręcie schodów posłyszała głosy dwóch osób rozmawiających na dole i wydało jej się, że słyszy wymówione swoje nazwisko. Wiedzioną iście kobiecą ciekawością zatrzymała się, wychyliła się za poręcz i zobaczyła kawałek sukni kobiecej oraz czarną głowę, pokrytą krótko przystrzyżonymi włosami, sterczącymi jak szczotka.

– Jakże ci się podoba panna Orecka? – pytał głos należący, jak się zdawało, do Elżuni.

– Ładna laleczka – odrzekł z lekceważeniem Andrzej.

– Tylko tyle?

– Cóż chcesz, żeby powiedzieć więcej o osobie, którą się raz tylko przez godzinę widziało? Zdaje mi się, że nasz ojciec za wiele sobie po niej obiecuje. Zamiast pomocy, będziemy z niej mieli zawadę w kantorze; wygląda na osobę żyjącą tylko fantazją i lubiącą marzyć o niebieskich migdałach, a o pracy porządnej i systematycznej nie mającą najmniejszego pojęcia.

– Mój drogi, uprzedzasz się. Samo to, że przyjechała do nas, mówi o niej zupełnie co innego. Dla mnie jest ona sympatyczna: piękna, dystygowana, delikatna i wygląda na dobrą.

– Przymioty to bardzo powierzchowne, siostrzyczko. Oprócz piękności, delikatności i dystynkcji szukamy jeszcze czegoś więcej w kobiecie, bo i dobroć sama, jeżeli nie jest rozumnie pojętą, może być szkodliwą. Zresztą panna Orecka pokaże sama wkrótce, czym jest. Przyznam ci się, że razi mnie zbyt duża elegancja w jej ubiorze. Żadna z was na wizytę nie ustroiła się jeszcze w tyle świecideł, co ona na podróż.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.